Nr. 36. — *Poznań, niedziela 3-go Września 1899.* — Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Nr. 36. — Poznań, niedziela 3-go Września 1899. — Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Stan średni.

Skutkiem długotrwałego ucisku dążącego do zubożenia i ogłupienia, a przez to samo do wynarodowienia nas, skutkiem germanizacyjnych rządów, które żywy nasz społeczny organizm wcisnąć chciały w obce nam formy, skutkiem własnego wreszcie niedbalstwa doszliśmy dziś do tego, że gdziekolwiek po społeczeństwie naszem rzucisz okiem, znajdziesz wszędzie jakąś naglącą potrzebę reformy, a raczej stworzenia czegoś na nowo; że nie masz jednej prawie cząstki społeczeństwa, jednej narodowego naszego życia gałęzi, któraby nie skoszlawiona i sparaliżowana owemi wrogiemi czynnikami nie wymagała ustawicznej nad sobą, a usilnej pracy. Wszędzie jakieś kwestye naglące, żywotne, najżywotniejsze, wszędzie mnóstwo surowego materyału — ale tylko materyału, i to często nie zupełnie zdrowego.

Lud wiejski nie jest dziś jeszcze taką podstawą, na którejby się z całą pewnością oprzeć mo-
... w sprawie obrony zagrożo-
...u narodowego. — Uzna-
...ażność i nieodzowną
... nad moralnem
...ieniem lu-
...dy za-
... — że
...atach
...ejsze
... nie
...eto
...ro
...m

i społecznego wpływu większej własności, ogólna uwaga kieruje się na stan średni, na miasta mieszczące w sobie najzdrowszy żywioł, skupiające przemysł, handel i oświatę narodową. To też ku podniesieniu tego stanu średniego pod materyalnym i moralnym względem skierować się powinny usiłowania, którym tak obecna chwila, jak też i cała przyszłość narodu cięży na sercu.

Nie tu miejsce na historyczne wywody, na pisanie dziejów stanu średniego w Polsce. Powtórzymy tylko co już tyle razy powiedziano, że jak w rozwoju gospodarczym zabił nas brak dzielnie rozwiniętego przemysłu, tak w życiu politycznem narodu jedną z najważniejszych przyczyn upadku był brak silnego stanu średniego, pośredniego między szlachtą a ludem.

Musimy tu przedewszystkiem wystąpić przeciw zbyt jednostronnemu uchwyceniu się tego często u nas powtarzanego zdania: „jesteśmy ludem przeważnie rolniczym.“ Jednostronność ta w dziejowym gospodarczym rozwoju wielce nam szkodziła. — Wskutek tego to całe życie koncentrowało się na wsi — szlachcic w wiejskiej swej zagrodzie widział świat cały, a prócz niej zajmowało go tylko pole elekcyjne lub pole bitwy. Ponieważ mieszczaństwu nie dano życia politycznego, ponieważ wreszcie wskutek powyżej przytoczonego opacznego pojmowania gospodarczych naszych stosunków wszystko rzucało się tylko do roli, nic dziwnego, że przemysł leżał odłogiem, że handel ogranicał się — a mówimy tu o późniejszych Rzeczypospolitej czasach — na wywóz zboża i dowóz za to artykułów zbytku dla szlachty.

I dziś jeszcze często powtarzają powyższe zdanie — i dziś jeszcze znaczna część naszego społeczeństwa zajęcie rolą uważa za honorowe *par exellence,* i woli złem gospodarstwem zniszczyć się do szczętu, niż sprzedać swą majętność komuś, kto lepiej z niej korzystać potrafi — i dziś jeszcze dla wielu dworek szlachecki całym jest światem. Mówiąc: „jesteśmy narodem przeważnie rolniczym“ — pojmują pod tem przynajmniej w praktyce: „narodem wyłącznie rolniczym.“

A przecież w dzisiejszych stosunkach rolnictwo może być silnem tylko obok silnego przemysłu; upadek przemysłu pociągnął za sobą upadek rolnictwa, wzrost pierwszego wpływać musi na rozkwit drugiego.

Minęły te czasy, gdyśmy byli śpichlerzem całej Europy, i mogli się spodziewać, że zdołamy zbyć za granicę całą ogromną nadwyżkę naszych ziemiopłodów. Silne współzawodnictwo Ameryki na targach zbożowych z jednej, coraz bardziej wytężona (intenzywna) gospodarka rolna w innych Europy krajach z drugiej strony, ograniczają zyskowny odbyt naszych ziemiopłodów. A gdy zważymy, że gospodarstwo wytężone da się prowadzić tylko wielkiemi kapitałami, że zagranica kapitały te posiada, a my ich nie posiadamy, przyjdziemy do tego wniosku, że gdy stosunki nasze gospodarcze

się nie zmienią, przyjść może czas, w którym rolnictwo przestanie przynosić zyski.

W porządku gospodarczym odpowiada wielkiemu wywozowi ziemiopłodów za granicę wielka posiadłość ziemska; zaś wielkiej konsumcyi miejscowej odpowiada więcej posiadłość mniejsza, czyli średnia. Że bardzo wielkie obszary dóbr w jednem skoncentrowane ręku nie są korzystne dla naszego gospodarstwa, a utworzenie średniej posiadłości byłoby u nas najpożądańszem, jest rzeczą udowodnioną. Otóż w tym stanie rzeczy i z tego także względu podniesienie się konsumcyi miejscowej a umniejszenie zagranicznej sprowadziłoby zbawienne skutki i przyczyniłoby się do utworzenia średniej posiadłości.

Z wszystkich powyższych uwag wynika, że wzrost większy przemysłu obchodzi bardzo żywo kraj cały, i jest dla jego gospodarczego rozwoju kwestyą żywotną, i że zarówno żywo obchodzi on naszych gospodarzy wiejskich, i z ich osobistym interesem silnie jest związany. W własnym więc interesie i oniby powinni przyłożyć rękę do dzieła podniesienia stanu średniego.

Wykazawszy w ten sposób całą ważność dzielnego i licznego stanu średniego ze względu na jego wpływ na gospodarcze stosunki narodu, zaznaczyć równocześnie musimy jego ważność pod względem politycznym — narodowym. Tu rzuca się zasiew, który po długim dopiero przeciągu czasu zejdzie — a potem świetne wyda owoce.

Nie pozostaje więc nic innego na dzisiaj, jak w politycznej działalności oprzeć się na stanie średnim, najzdrowszej niezaprzeczenie części naszej ludności. Najwięcej bowiem zdrowia i życia, najwięcej energii i siły, najwięcej jakiejś samodzielności znajdziesz pomiędzy tymi, którzy pracą dopiero i walką zdobywać sobie muszą jakieś w świecie stanowisko, którzy nim doszli do niego, ciężkie dopiero przebyć musieli próby. Takim też jest stan średni, gdy doń zaliczymy rękodzielników, kupców, adwokatów, lekarzy, notaryuszów, profesorów, słowem całą ludność miejską.

Nie chcielibyśmy, by nas fałszywie rozumiano i twierdzono, iż w stanie średnim upatrujemy dziś już w istocie wszystkie te przymioty, o których wspomnieliśmy. Warunki, wśród jakich rozwój nasz dotychczas się odbywał, nie były niestety po temu, by pozwoliły stanowi średniemu rozwinąć w sobie te wszystkie przymioty. Jeszcze w nim nie ma tej łączności, jakiej po nim koniecznie wymagać musimy — jeszcze w nim znajdujemy często obojętność i opuszczenie rąk, brak siły i energii i brak postępowości. Ale twierdzimy, że trochę pracy w tym kierunku, musi w nim wyrobić te przymioty.

Sądzimy dalej, że oświata ludu wiejskiego wtedy tylko pożądane przyniesie owoce, gdy stan średni będzie oświeceńszy. Oświata bowiem skoków robić nie może — musi ona naturalnem płynąć korytem: od klas niegdyś uprzywilejowanych do stanu średniego, od niego do ludu. Oświećmy i wzmocnijmy siebie, a wtedy lud oświecić i wzmocnić zdołamy, a kto zna stosunki wiejskie, kto wie, jak częste i ważne są stosunki ludu wiejskiego z miastami i miasteczkami, przyzna nam pewnie pod tym względem słuszność. Każdemu więc przyjacielowi ludu zależeć powinno wiele na podniesieniu moralnem stanu średniego. Tylko zamożny i oświecony stan średni może coś zdziałać dla oświaty ludu.

Te to są gospodarcze, polityczne i narodowe względy, popierające nasze twierdzenie, iż podniesienie stanu średniego jest na dzisiaj najważniejszym u nas postulatem.

D. L. P.

Karol Libelt.

Epoka pomickiewiczowska tak obfita, tak ruchliwa i bogata życiem myśli i poezyi, nie znalazła dotąd u nas swojego dziejopisa, swojego myśliciela, któryby pojedyncze postacie mężów nauki i natchnienia przekazał pamięci potomków. Umarł który z mężów zasługi, uczczono go chłodnym lub sztucznie entuzyazmowanym nekrologiem; nekrolog ten przeszedł kolejno do wszystkich historyi literatur, z niejakiemi zmianami frazesu, i na tem koniec.

Dotąd nie mamy badaczy, którzyby zastanowili się dokładnie nad postaciami, tak wydatnemi jak Wiśniewski, Bentkowski, Meciszewski, Goszczyński, Bielowski, Szajnocha.

Tegoż losu doznał Karol Libelt.

Karol Libelt, filozof, matematyk, historyk i publicysta, szedł w różnych kierunkach, a lubo nie we wszystkich celował, zajął wszakże w literaturze naszej wysokie stanowisko. Jako krytyk i estetyk, zasilając obficie pisma czasowe, nie miał sobie równego w swoim czasie. Wszystko cokolwiek wypłynęło z pod jego pióra, było ozdobą „Tygodnika literackiego“, „Dziennika domowego“ i „Roku“. Rozbiorami dzieł Słowackiego, Cieszkowskiego, Trentowskiego, uczył jak należy zastanawiać się nad utworami głębszej myśli. Czem był Kremer w Krakowie, tem Libelt w Poznaniu. Nie powtarza się, zawsze jest jasny, bystry, gorący miłością ojczyzny, zawsze pióro, nieskalane spaczeniem zasad, styl prosty a ozdobny, niemanierowany.

W dniu 8 kwietnia 1807 r. urodził się Karol Libelt w mieście Poznaniu. Rodzice jego niezamożni, Stanisław i Katarzyna z Zielińskich, nie mogli wiele łożyć na jego wychowanie. Cokolwiek umie, winien własnej pracy i wytrwałości. Ojciec za młodu go odumarł. Zostając na sierocym chlebie trawił lata na nauce w gimnazyum poznańskiem i uniwersytecie berlińskim (dokąd udał się w r. 1826) i na uczeniu drugich, co stanowiło jego utrzymanie.

Nauka uniwersytecka powstrzymała popisy literackie i dobrze się stało. Ogół literatów marnieje przez to, iż zawcześnie pióro ich popisuje się publicznie. Myśl nie ma czasu dojrzeć, ledwie zakiełkuje, już leci w świat. Zrozumiał tę niestosowność Karol Libelt, więc pracował w samotności. W r. 1828 ubiegano się w Berlinie o nagrodę za ocenienie ducha prac Spinozy. Po nad Niemcami wygórowała myśl polska — Libelt otrzymał w nagrodę złoty medal.

Bytność w Berlinie upamiętnił założeniem Towarzystwa biblioteki polskiej między młodzieżą uniwersytecką polską.

Po trzechletnim przeszło kursie uniwersyteckim, puścił się w świat, objeżdżając Niemcy i Francyę. Spostrzeżenia z podróży przesyłał do „Gazety W. X. poznańskiego.“ Bawił w Paryżu gdy zaszła katastrofa 29 listopada. W miesiąc potem widzimy go w Warszawie. Zaciąga się do artyleryi i podziela tru-
dy półrocznej kampanii. Prosty oc[illegible]
nie miał zapewne sposobności [illegible]
cia swoich zdolności; do[illegible]
odwrotu do Austryi [illegible]
srebrny i sto[illegible]

Rząd[illegible]
na ka[illegible]
po ka[illegible]
wodu[illegible]
ces [illegible]
wyc[illegible]
mu[illegible]
cy[illegible]

polityczny, który wytoczono przeciw Szumanowi, rozciągnięto i na Libelta. Dwa te procesy skończyły się dziewięciomiesięcznem więzieniem w fortecy w Magdeburgu i konfiskatą majątku.

Po wycierpieniu kary, wzbroniono mu osiadać w Poznaniu. O otrzymaniu jakiejkolwiek posady nauczycielskiej ani było myśleć. Ożeniwszy się więc z Antoniną Jaworską, objął dzierżawę wsi Olejno, w powiecie Średzkim. Niedługo cieszył się szczęściem domowem — w roku 1834 traci żonę i dziecię.

Założenie w roku 1838 przez Wojkowskiego „Tygodnika literackiego“, obudziło życie literackie w całem Poznańskiem. Ruchowi temu jeśli nie przewodniczył, to towarzyszył Libelt.

Szczęśliwy, iż ustrzegł się słabości pisarzy, naukowością nimiecką przesiąkłych, którzy uczuwając wyższość zdolności swoich, popisywali się niemi przed Niemcami, jak, Gołuchowski, Trentowski, Cieszkowski i mnóstwo innych. Bodaj że tylko raz pisywał po niemiecku należąc do współpracy przy założonem w roku 1840, przez Rudolfa Lubarscha czasopiśmie: współpracownictwo to atoli miało cel szlachetny obznajmienia germanizatorów z dziejami Słowiańszczyzny i Polski; tak też pojmować trzeba umieszczenie tam rozprawy Libelta: „Die Slaven nach ihrer historischen und literatischen Bedeutung.“ Wierzył Libelt wówczas, że oba narody porozumieć się mogą.

Rząd pruski niechętnie patrzał na rosnące wpływy Libelta. Wprawdzie w r. 1840 po śmierci króla wrócił do Poznania ze wsi w skutek amnestyi co do politycznych wykroczeń; miewał nawet przez półtora roku prelekcye publiczne estetyki i literatury niemieckiej i wolno mu było trzymać pensyonat. Co więcej, powierzono mu zastępstwo nauczyciela fizyki i matematyki w najwyższych klasach gimnazyum Fryderyka w Poznaniu; atoli po dwu leciech nauczycielstwa zmieniło się postępowanie rządu. Popularność raziła — usunięto go z posady, żądając by złożył na nowo egzamin nauczycielski. Zjechał do Berlina. Egzamin wypadł świetnie, mimo
czego odmówiono mu wręcz posady;
czniom gimnazyalnym zagrożono
z gimnazyów, w razie gdy-
a pensyonacie u Libelta.
postepowanie podobne
ałalność Li-
ie z ży-
e rap-
wny,
czył
był
lał
ze:
m
er

Sitzung am 7 September 1847.“ Berlin 1874 w 8ce str. 19 (oddruk z dzieła „Der Polen-Process“). Patryotyzm opłacił więzieniem w Poznaniu, Sonnenburgu i Moabicie.

Wzburzenia marcowe r. 1848 wywiodły go z więzienia na pole publicystyki. Wraz z Ryszardem Berwińskim wydaje od 7 czerwca 1849 r. do 30 czerwca 1850 r. pismo polityczne: „Dziennik polski“; poświęcone polityce i sprawie narodowej, na zasadzie wolności, równości i braterstwa. Rząd wzbronił dalszego wydawania, odmówiwszy debitu pocztowego.

Zasługi naukowe Libelta spowodowały życzenie ujrzenia go na katedrze uniwersyteckiej. Kiedy w r. 1848 senat akademicki w Krakowie powoływał Mickiewicza na katedrę profesora literatury polskiej w uniwersytecie jagiellońskim, młodzież akademicka wystosowała przy końcu października zaproszenie do K. Libelta, aby objął posadę profesora filozofii. Powoływany nie przyjął posady, rozwijające się bowem życie publiczne wPrusiech wskazywało mu inne obowiązki.

Dość wymienić obywatelskie posługi, które spełniał; był członkiem komitetu polskiego w Berlinie, następnie komitetu narodowego w Poznaniu, brał udział w reorganizacyi Wielkopolski; działał jako komisarz przy jarosławskiej konwencyi i jako członek dyrekcyi ligi polskiej. Udawszy się na kongres słowiański w Pradze, przewodniczył sekcyi polsko-śląskiej. Jemu zawdzięczamy zbliżenie się Czechów ku nam w układzie programu partyi czeskiej. Deputat w parlamencie niemieckim w Frankfurcie, zjechał tam celem założenia protestu przeciw wcieleniu W. Ks. Poznańskiego do Niemiec; posłuje do sejmu prusk. w Berlinie, i tu przewodniczy Kołu polskiemu.

Ściśnienie swobód w Prusiech usunęło go w zacisze wiejskie do wsi dziedzicznej Czeszewa w powiecie wągrowieckim.

Mowy jego sejmowe, mowy na zgromadzeniach, mowy toastowe, cechuje także śmiałość, logika i śliczna polszczyzna, jaką odznaczają się wszystkie prace jego. Szkoda, że wiele z nich przepadło, nie ogłoszonych drukiem; to zaś co pozostało w zapisach stenograficznych, nie wyszło dotąd w żadnym zbiorze.

Umarł dnia 9-go czerwca 1875-go roku we wsi dziedzicznej Czeszewie.*) *E.*

*) Portret Libelta zamieściliśmy swego czasu w „Pracy“ w nr. 19-tym r. z. na stronie 330.

Polacy w Prusach Zachodnich.

II.

Mówiąc o Polakach w Prus. Zachod. stwierdzić należy, że jest wśród nich świadomość położenia, jasne rozpoznanie niebezpieczeństwa.

Jest przekonanie o własnej sile odpornej i rozwojowej, pytanie więc, jak ludność polska nad rozwojem tych sił pracuje i jakie czyni postępy, mianowicie co zdziałała w ostatnim roku?

Przypatrzmy się wychowaniu, a nadewszystko szkołom.

Szkoły od najniższych (nawet od ochronek i ogródków froeblowskich) zagarnął rząd pod swoją władzę do najwyższych.

Przymus szkolny oddaje dziecko po ukończonym szóstym roku życia szkole elementarnej. Jedynie tylko oddanie dziecka do szkoły przygotowawczej wyższego zakładu i trzymanie koncesyonowanego nauczyciela lub nauczycielki domowej, zwalnia z obowiązku posyłania do szkoły ludowej. Dozór nad szkołami elementarnemi oddany inspektorom powiatowym, ludziom świeckim, zawsze Niemcom, zwykle ewangielikom.

W szkole elementarnej nie uczą wcale po polsku, nawet pacierza i religii nie używają z zasady i tendencyi, tylko języka niemieckiego. Regulamin przepisuje wprawdzie inaczej, ale ten dawno w kąt poszedł, a nauczyciel jego się trzymający wnetby z posady wyprysnął. Grobowem milczeniem ma mowa ojczysta zaschnąć w dziecku. Nauka schodzi na złe tory, środkiem porozumienia dla nauczyciela rózgi i chłosta. Ztąd bardzo częste procesy o skatowanie dzieci. Nauka szkolna trwa lat 8 z prawa, w praktyce często dłużej, bo inspektorowie przywłaszczają sobie prawo zatrzymywania dzieci po za rok 14-ty życia, aż do nabycia wiadomości prawem szkoły przepisanych. Sądy często dzieci po dojściu lat 14-stu ze szkoły zwalniają.

Dzieci polskie są wogóle lepiej uzdolnione od niemieckich. Czynią więc i pod taką tresurą z czasem postępy. Więcej przecież od szkoły przyczynia się do ich obyczajowego wychowania i rozwoju umysłowego dom rodzicielski i pomoc prywatna współziomków. Dzisiaj więcej dzieci umie dobrze czytać i pisać po polsku i lepiej niż po niemiecku, niż umiało dawniej, gdy szkoła miewała naukę tę na planie i niby to za zadanie. Uczą ojcowie, matki, krewni, starsze rodzeństwo, a gdzie tych niedostaje, dobrzy znajomi lub kto z inteligencyi, choć najczęściej rodzina sama wystarcza. Do dalszego rozwoju umysłowego i nabycia rozmaitych wiadomości, pomagają czytelnie ludowe, gęsto po kraju pozakładane staraniem osobnego ku temu towarzystwa w Poznaniu. Pokazuje się też, że i w szkole i w języku niemieckim, te właśnie dzieci czynią postępy najlepsze i zyskują podstawy do ogólnej oświaty, które w domu nauczyły się używać i zasmakowały w używaniu polskiej książki. O szkole germanizacyjnej, po-

wiedzieć możemy, jak powiedziano o śmierci w pieśni wielkanocnej: „Śmierci, a gdzie żądło twoje?“

Zajęcie się tą nauką dzieci, prawie w każdej chacie wiejskiego robotnika, z nielicznemi chyba wyjątkami i obudzona przez to u dzieci chęć i ciekawość do czytania, wywierają na rodziców silny nacisk do starania się o pożądany dzieciom materyał do czytania. Idzie zatem, gdy czytelnie ludowe nie wystarczają, kupowanie stosownych książek, a więcej jeszcze abonowanie czasopism dla ludu, przy których bywają tygodniowe dodatki dla dzieci, religijne, powieściowe i rolnicze. W ten sposób korzystają i dorośli razem z dziatwą, bo zwykle dzieci bywają lektorami po chatach i miewają słuchaczamy wszystkich członków rodziny, a często i sąsiadów.

Szkoły wyższe są zupełnie w ręku rządowem, tak męzkie, jak żeńskie. W niektórych gimnazyach bywa po 2 godziny tygodniowo nauki fakultatywnej języka polskiego. Jednakże przez łączenie kilku klas z uczniami różnymi wiekiem i rozwojem umysłowym, nauka ogranicza się elementarnemi początkami, staje się więc nudną dla dojrzalszych, a mało przystępną niejednokrotnie dla młodszych. Nawet z zapasów polskich w bibliotekach gimnazyalnych korzystać rzadko wolno. Mimo to napływ uczniów Polaków wzrasta w tych szkołach, bo kto tylko może, rzemieślnik i włościanin nawet, śle syna na wyższą naukę i szczęśliwy, gdy go i przez uniwersyteckie studya przeprowadzi, ofiar nie szczędząc. Młodzież polska odznacza się zwykle pilnością i dobrem prowadzeniem i zdaje egzaminy dojrzałości licznie. Uboższej dopomaga towarzystwo pomocy naukowej w Chełmnie, zbierające fundusze ze składek dobrowolnych. Obchodziło ono tutaj niedawno 50-tą rocznicę istnienia.

Rodzice jako tako zamożniejsi, ze wszystkich stanów, i rzemieślniczego nie mniej, wysełają córki do wyższych szkół, czy to rządowych, czy też prywatnych, których nie brak po miastach. Ulubioną jest szkoła żeńska w mieście Kościerzynie na Kaszubach, fundacya ś. p. kanonika Prądzyńskiego i również zmarłej już siostry jego, owdowiałej Walentowej Łuszczewskiej. Szkoła ta setkom cór, zwłaszcza ze stanów średnich, dała staranne religijne wychowanie i wyższe już wykształcenie i wniosła przez to nietylko podniesienie uobyczajenia, ale oświatę i uobywatelenie, z poczuciem obowiązków, do wielu rodzin włościańskich mianowicie. Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad niezmierną doniosłością dla społeczeństwa takiego nabytku, dość będzie wyrazić życzenie, aby tak szło dalej a dalej. A nie ma dotąd obawy, aby tak być nie miało. Mniej zamożnym panienkom, kształcącym się w jakim praktycznym zawodzie, pomaga osobne towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt Prus Zachodnich, mające siedzibę swoją w Toruniu, założone w r. 1872 przez ś. p. dra Franciszka Rakowicza.

Komu albo tutejsze szkoły dla ograniczonej nauki w języku polskim nie wystarczają, albo też potrzeba córkę wprodzić w wyższe koleżeństwo i ton towarzyski, ten wyseła ją, choćby tylko na dokończenie edukacyi, do zakładów w Krakowie, Lwowie, Pradze, lub gdzie jeszcze mają szkoły Sercanki i t. p. O Paryżu rzadko już słychać.

Ignacy Danielewski.

Z TYGODNIA.

Ładne rzeczy zaczynają się dziać w Paryżu. Oto anarchiści i tłum rozbawionych niedorostków bezczeszczą kościoły i urządzają pierwszy przedsmak barykad na ulicach miasta. O wypadkach tych dzienniki przynoszą następujące informacye, które poniżej przytaczamy w streszczeniu.

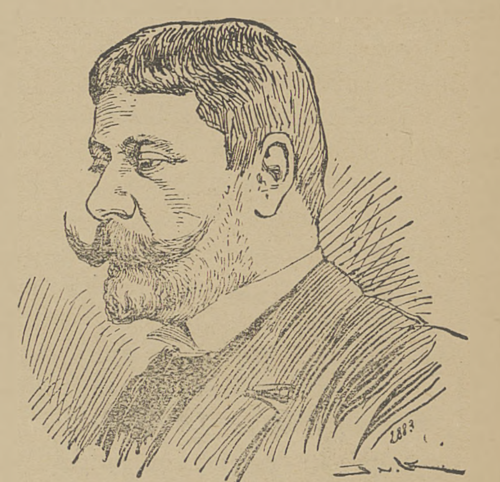
W niedzielę wieczorem skutkiem zobelżenia agenta policyjnego na ulicy Chabrol doszło do demonstracyi. Agenci natarli na tłum, który zaczął ich atakować. Tłum anarchistów i socyalistów, mający na swem czele deputowanego Sebastyana Faure'a, usiłował się zgromadzić na placu de la République. Tu Faure chciał przemawiać, lecz policya spędziła manifestantów. — Tłum, który z placu de la République udał się na Place du Trone, mając na czele swojem Sebastyana Faure'a, został powstrzymany przez oddział policyi, dowodzony przez komisarza policyi Gouliera. Przyszło do gwałtownego starcia. Komisarz Goulier otrzymał dwie rany nożem. Manifestanci zdołali posunąć się naprzód, wszakże nie dotarli do Place du Trone. Wywiązała się nowa walka, jeszcze gwałtowniejsza od pierwszej. Strzelano z rewolwerów. Trzech policyantów odniosło rany. Sebastyan Faure i czterech jego towarzyszów wsiadło do waganów kolei konnej i udało się na Place de la République. Na drodze wszakże aresztowano ich i odprowadzono do koszar Chateau d'Eau.

Ogromna liczba rannych, idąca w setki, 71 rannych policyantów, wszystko to wskazuje na niezmierne wzburzenie umysłów w stolicy, z której tyle razy hasła do rewolucyi we Francyi padały.

Sprawa Dreyfusa przybiera kształty wojny domowej. Ogromna ilość lig, które jak grzyby po deszczu nagle wylazły, jest wskazówką anarchicznych stosunków.

Ferdynand Brunetière, znany wydawca „Revue des deux Mondes, poeta Fr. Coppée i pisarz Jules Lemâitre założyli ligę; monarchiści z panem Cavaignac'em i osławionym prezydentem senatu Beaurepaire należą do tej ligi patryotów. Antysemici rewolucyjni Drumont i Rochefort gromadzą swych przyjaciół w lidze antysemickiej. Cały sztab generalny, generałowie otwarcie spiskują przeciw republice. Rząd, mimo że objął misyę stłumienia spisku, obawia się rozwinąć energii. Guerin spiskowiec, którego miano aresztować tydzień bronisię w swym domu na rue Chabrol — a rząd nie używa nawet sikawki, żeby go ztamtąd wypłoszyć i anarchia rozwielmożniła się w Paryżu. Wszystko czeka tylko na zamach stanu.

Obrońca Dreyfusa, Labori, już przyszedł do zdrowia w zeszłym tygodniu i podjął na nowo obronę swego klienta.



Labori.

Swoją drogą antysemici wciąż mu płatają figle. Między innemi posłano Labori'emu porzą kilka podejrzanych pudełek. Oddano je do chemicznej analizy i przekonano się, że zawierały maść na rany. Labori otrzymuje nadto listy z pogróżkami, z których wynika, że zagrożonem jest nietylko życie jego, ale wszystkich, którzy pracują nad uniewinnieniem Dreyfusa.

Podczas gdy w Europie nie umiano się pogodzić co do uchwał konferencyi w Haadze i obracano się w sferze teoryi, Ameryka południowa czyni pierwszy krok na drodze praktyki. W Rio de Janeiro zaszedł w tych dniach akt pierwsz[...] nego znaczenia, chociaż dotyc[...] odległych lądów i państw [...] Zasadniczo jest on [...] niosłym.

Prez[...] połud[...] podp[...] te z[...] mu[...] 26[...] sz[...] Sy[...]

południową, lubo tam są państwa pod wieloma względami przedniejsze niż Persya i Syam. Beaufort pominął także na życzenie Salisburego republikę transwaalską, a obok niej pominął jeszcze sułtanat Marokko.

Transwaal upominał się o swoje prawa, Ameryka połnduiowa milczała, ale za to bardzo rychło i z własnego popędu zdobyła się na czyn, którym Europę zawstydza. Gdy bowiem wszyscy dygnitarze, wysłani przez rządy europejskie do Haagi, przez dwa miesiące zajmowali się kwestyą rozbrojenia, prezydenci Brazylii, Argentyny i Chile rozmotali ów węzeł gordyjski w ciągu kilku dni. Dzięki dobrym chęciom swych prezydentów, trzy najcelniejsze republiki południowo-amerykańskie stanęły bez wielkich zachodów na tym punkcie, że mogą już wkrótce przystąpić do redukcyi swych wojsk i do ulżenia ciężarów swej ludności, a względnie do obrócenia wydatków nieprodukowanych na cele produktywne, jako to: na oświatę, na poparcie handlu, na podniesienie rolnictwa, na ulepszenie dróg, słowem na ulepszenie materyalnego i duchowego dobrobytu kraju.



Prof. Bunsen.

Gdy więc tak w Ameryce zaczyna się urzeczywistniać inicyatywa pokojowa cesarza Mikołaja, w Europie już cicho po konferencyi pokojowej w Hadze. Od czasu do czasu rozchodzi się tylko jakaś sensacyjna wersya, mająca być dowodem,
...esarz Mikołaj swą ideę urzeczywi-
...mierza. Tak „Narodni Listy“
... pochodzący z „poważnych“
...ich, który przedstawia
... Mikołaja II na
... monarcha
... w (!)
... pan-
... się
... za-
... r.
... wa.
... ała

ta kombinacya jest wypływem bujnej fantazyi.

W ostatnim numerze „Pracy“ zamieściliśmy w niniejszej rubryce notatkę o zmarłym w Heidelbergu słynnym chemiku, prof. Bunsenie. Dziś podajemy jego podobiznę. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Górnoszlązki proboszcz o wrogach państwa. Pod takim tytułem podaje **„Oberschlesischer Anzeiger“** i inne niemieckie gazety, że ks. proboszcz Kuboth z Miechowic przy poświęceniu ochronki dla małych dzieci w Bobrku wypowiedział mowę, z której przytaczają co następuje:

„Ks. prob. Kuboth zwrócił uwagę na wrogów państwa, którymi są socyalni demokraci. A dalej nazwał wrogami państwa ową klikę (grono) Polaków narodowych, którzy teraz i na Górnym Szlązku, czującym zawsze po prusku i wiernym ojczyźnie, się rozszerzają, aby przygotowywać na przyjście nowego wymarzonego państwa. Organizują się, podburzają, aby cudacki cel osięgnąć. Prawdziwi patryoci nie powinni wobec tego być nieczynni. Każdy dobry i dzielny patryota ma obowiązek starać się, aby ten zarazek narodowo-polski tępić (ausrotten), gdzie go napotka. Wielcy mężowie polityczni i doskonali pedagogowie (nauczyciele) zaliczają do najlepszych środków do tego, szkołę. I ta ochronka ma być czynną w tym duchu, ażeby w serca dzieci niejako śpiewająco wszczepić bojaźń Bożą i miłość ojczyzny. Spodziewam się po Was kochane siostry (zakonnice), że w tym duchu w tej ochronce działać będziecie. Rząd obiecał szkółkę popierać. Choćby was niewdzięczność miała spotkać, pocieszcie się wtedy myślą, że cierpicie z miłości Boga i ojczyzny. Najprzód pamiętajmy o Bogu. Biada, trzykroć biada państwu, w którem Bóg nie jest podstawą wszystkiego działania. Miłość Boga i miłość ojczyzny są bliźniętami, a przeto nie można jednej od drugiej odłączać. Z Bogiem za króla i ojczyznę.“

Jeżeli ks. prob. Kuboth tak powiedział, jak gazety niemieckie piszą, (a dotąd temu nie zaprzeczył), natenczas warto się zastanowić, czyby Pan Jezus, gdyby szkołę w Miechowicach poświęcał, taką mowę przytem był powiedział? Czyby Zbawiciel wołając do Siebie dziatki i polecając je nauczycielom lub nauczycielkom, był do tychże powiedział: Starajcie się dzieci tak wychować, aby umiały niszczyć i tępić to, co bliźni czynią i czego za grzech przeciwko Bogu nie uznają, ale co wy za złe uznajecie?!

Nie, takby Pan Jezus nie był powiedział, lecz zupełnie inaczej, a mianowicie: Uczcie dzieci przykazań moich, a mianowicie tego, które głosi: Będziesz miłował Pana Boga twego z całej duszy i ze wszystkich sił twoich, a bliźniego twego ze wszystkiego serca twego, jak siebie samego. Tą miłością obejmujcie nawet i nieprzyjaciół.

Tak byłby Pan Jezus powiedział i księdza Kubotha, jak niegdyś przekupniów z kościoła — odsunął.

W tej sprawie otrzymuje **„Katolik“** od jednego z czytelników list następujący:

„Ks. Bismark, będąc u steru rządu, centrum, Polaków i socyalistów brał pod jeden strychulec polityczny i nazywał ich wrogami państwa. Dziś ks. proboszcz Kobuth z Miechowic zarzuca to samo Polakom i socyalistom. Różnica zachodzi tylko ta: Podczas gdy ks. Bismark jako polityk z mównicy publicznej w sejmie lub parlamencie w sprawach politycznych robił tak nieuzasadnione i krzywdzące zarzuty, ksiądz Kuboth z Miechowic czyni je jako kapłan katolicki w urzędzie swym kapłańskim podczas aktu, którego politycznym nazwać nie można, bo podczas aktu poświęcenia ochronki.

„Zarzuty odrywania się od państwa pruskiego już nieraz zbijaliśmy. Dziś ze względu na ks. Kubotha z Miechowic nie mamy powodu powtarzać tego, cośmy już tyle razy powiedzieli. Zaznaczamy tylko, że zarzuty takie, z jakichkolwiekbądź ust one wychodzą są niesłuszne i w wysokim stopniu krzywdzące.

„Poświęcenie ochronki katolickiej jest aktem kościelnym. Najmniej więc jest na miejscu, żeby taki akt łączyć z polityką.“

Sądzimy, że ks. proboszcz Kuboth, jako kapłan katolicki na Górnym Szlązku wiedzieć powinien, że lud na Szlązku jest polskim, mówi po polsku, modli się do Pana Boga po polsku, mówi pacierz w swym polskim, ojczystym języku, a więc też po polsku czuć i myśleć musi.

Tego nie zmieni i ks. proboszcz Kuboth, bo to nie leży w jego mocy.

W pisemku **„Pasieka“**, wychodzącem w Poznaniu, znajdujemy następujący artykulik p. t. „Poważne słówko“:

„Do powyższego napisu powoduje mnie poważna rozprawa, o której chcę się rozpisać. Chodzi tu nie o co innego, jak o „Pasiekę“ samą, o jej byt, o jej wydawanie nadal. Jak Szanowni Czytelnicy przypomnieć sobie zechcą, obawa o egzystencyą „Pasieki“, już wtenczas mnie ogarniała, skoro tylko „Pasieka“ wychodzić zaczęła. Pierwsze dwa lata wprawdzie obawę moją rozpraszały, ale tylko powierzchownie. W przekonaniu mojem przebijała się zawsze ta myśl, że czy prędzej czy później, nadejdzie chwila, w której trzeba mi będzie zabrać głos poważny w tej sprawie. Chwila ta zdaje się choć zwolna zbliżać. A chwilę tę powodują pszczelarze sami. — Wypowiadam to bez ogródki! — Zabieram więc głos zawczasu, aby albo zapobiegnąć złemu całkowicie, albo też kryzys na czas jak najpóźniejszy oddalić. Czy mi się uda — nie wiem! — Znam wprawdzie swoich, — znam naszych pszczelarzy, to też pomimo wielkiej obawy mam jeszcze nadzieję, że mi się może powiedzie w usiłowaniu podtrzymania wydawnictwa „Pasieki“ i uchronienia jej od upadku.

„W ostatnich miesiącach słyszałem wielkie żale na opóźnianie wydawnictwa „Pasieki“. Sam przyznać muszę, że w ostatnich miesiącach „Pasieka“ zawsze dość późno rąk czytelników swych dochodziła. Po dokładnem zbadaniu przy-

czyn tej zwłoki w wysełaniu „Pasieki“ przekonałem się, że wina tego leży jedynie w pszczearzach naszych. W pierwszych dwóch latach istnienia „Pasieki“ powstał pomiędzy pszczelarzami naszymi taki do niej zapał, że na widok przyrastania abonentów serce rosło z radości. Tak, zapał ten, nie był nic więcej, jak tylko ogień podłożony pod suchą słomę. Jak taki ogień od razu cały snop ogarnie i od razu płomieniem wybuchnie, aby następnie nagle przygasnąć, tak samo ma się z owym zapałem naszych pszczelarzy.“

„Pasieka“ była im z początku nowością, a każda nowość jak cacko przyciąga, kiedy się tem cackiem nabawimy, rzucamy je obojętnie w kąt. Tak się u nas dzieje z każdą sprawą, ku własnej szkodzie! Jeżeli „Pasieka“ wydawana z wielkim nakładem już od samego początku pomimo dość znacznej liczby czytelników tylko tyle nakładcy przynosiła, że to zaledwo na druk, papier, portorya i tym podobne wydatki wystarczyło, raz po raz kilka tylko marek czystego zysku zostawiając, to w ostatnich miesiącach nakładcy przez jej wydawnictwo tylko stratę ponoszą. Ztąd zobojętnienie do wydawania takiego pisma i ztąd nieregularność w jego wydawaniu.

Temu winni pszczelarze sami, którzy przesyceni niejako z obojętnością od „Pasieki“ się odsuwają i zapominają nawet na czas jej zapisać. To wszystko zagraża istnieniu „Pasieki“ samej.

B. M.

NA DOBIE.

Z prowincyi, 30-go sierpnia.

Szanowna Redakcyo!

Już od kilku lat czytuję „Pracę“ i znając tendencye tego pisma, czuję się w obowiązku zwrócić uwagę Redakcyi na jeden punkt, który podnosząc na swych szpaltach — wielką oddałaby usługę społeczeństwu. Jestem poddaną rosyjską, lecz spędzam lato w Prusach, więc znam dobrze stosunki zakordonowe.

Otóż tutaj dziewczęta ze sfery mieszczańskiej i rzemieślniczej znają wybornie język niemiecki, w Królestwie zaś jest ogromne zapotrzebowanie bon, które po prostu dzieci myją, czeszą, pilnują, reperują ich bieliznę i mówią z niemi po niemiecku. Stanowiska takie zajmują zwykle rodowite Niemki, które z nienawiścią wchodzą do domów polskich. Często taka dziewczyna obezna się już z językiem polskim, a tu ktoś pod wrażeniem przeczytanej gazety, powie swe zdanie o prześladowcach, już Niemka się burzy, a często i mści na dzieciach. Sama byłam świadkiem podobnej sceny. Słowem trzyma się w domu wroga, przy którym z każdym słowem liczyć się trzeba. Otóż stanowiska takie z zobopólną korzyścią mogłyby być zajmowane przez Polki, władające poprawnie językiem niemieckim. Dziewczyna taka dostałaby z łatwością 200 mk. w Królestwie, a przytem miałaby tę korzyść jeszcze, że rozszerzyłoby jej się ciasne pojęcie ojczyzny, o co tu się nikt nie stara.

Z poważaniem
Czytelniczka „Pracy“.

* * *

Brzeźnica p. Raciborzem, G. Szlązk 22. 8. 99.

Szanowna Redakcyo!

Przyślijcie mi nieco książek na premię, gdyż chociaż przeczytałem już bardzo wiele, to przydadzą się dla innych. Dobra książka to najlepszy agitator, kto nie przeczytał wprzód żadnej książki polskiej, ten też nie będzie abonował gazety, chociażby ona była najlepszą. Ja mogę zawdzięczać tę odrobinę oświaty jedynie czytaniu książek z tamtejszego „Towarzystwa Czytelni Ludowych“. Krótko po założeniu owego Towarzystwa wyczytałem o tem w „Katoliku“ i sprowadziłem do siebie bezpłatną wypożyczalnię, niedługo potem posypały się rewizye; zabierano książki jedne po drugich, niektórych wcale nie zwracano. Ojciec mój miał wskutek tego nieprzyjemności; powiedziano mu, że naród polski to naród dziki, nieokrzesany, który nie potrafił sam sobą rządzić, więc inne rządy musiały go wziąść w „opiekę“. Ja nie miałem jeszcze wówczas pojęcia o sprawach narodowych, liczyłem dopiero lat 20, szukałem więc pozoru, pod którym odesłałem bibliotekę Towarzystwu z powrotem, zostawiłem sobie tylko książki: „Historya polska z mapą“ i „Wieczory pod lipą“, ale i te jeszcze mi później zabrano.

Po przeczytaniu owych książek przekonałem się najlepiej, po której stronie słuszność. Wiele książek mi wówczas nie zwrócono, a te, które jeszcze dzisiaj zdarzyło mi się napotkać, chociaż dosyć obszarpane, krążą z rąk do rąk i szerzą oświatę między ludem.

Dopomogłem także do rozszerzenia „Pracy“ przez adresy. Byłem na wystawie przemysłowej w Poznaniu, nie po to, aby mnie coś ona interesować mogła, lecz ażeby się lepiej poznać z braćmi Wielkopolanami.

Macie własną drukarnię, drukujcie więc i kalendarze biurowe, bez których i chłop obejść się jakoś nie może, a które wciskają Niemcy nam gwałtem.

Jeżeli Pan Bóg da zdrowie i życie, to chcę jeszcze być w Poznaniu, a więc do widzenia.

Fr. M.

* * *

Alten, dnia 25-go sierpnia 1899.

Kochani Rodacy!

Czem jest życie prawdziwego Polaka-katolika na obczyźnie? To pytanie stawiam całemu ogółowi polskiemu. Dotychczas mieliśmy wiele doniesień pomyślnych o Polakach zbliska i zdaleka. Lecz nie jest to tak jak się w tem korespondencyjnem świetle odbija. Dotychczas wprawdzie takiego pytania ogółowi polskiemu nikt nie stawił, choć Polacy już od stu lat i dłużej po różnych krańcach ziemi wędrują, mianowicie od czasu, kiedy nieszczęścia co raz to bardziej ściśniają pierścień, który opasuje naszą ukochaną Ojczyznę! Stawiając powyższe pytanie, sam na nie odpowiadam, że niczem innem nie jest życie prawdziwego Polaka-katolika na obczyźnie, jak życiem prawdziwie pokutniczem.

Niejeden z naszych czytelników lub z naszych rodaków, będących gdziekolwiekbądź na obczyźnie, nie namyślając się wcale powie: „Hm, życie Polaka poza obrębem ojczystych stron, toć życie inne jak w Polsce, chłop zarobi więcej jak w domu i żyje bez kłopotu i wesoło.“ Jest to najprostsza odpowiedź Polaka, a zwłaszcza takiego, który niema najmniejszego pojęcia duchowego i polsko-politycznego.

Człowiek jakiegokolwiekbądź stanu, posiadający choć trochę inteligencyi, chociażby był nawet robotnikiem powie, że: Prawdziwy Polak-katolik na obczyźnie,

Choć w drogiej komnacie,
Oddychać nie może tak rzewnie
Jak na polskiej ziemi,
Choć w słomianej chacie.

A że to świętą jest prawdą, mam dowód na własnej osobie. Mija rok drugi, jak opuściłem granicę mej ojczyzny, puszczając się w głąb Niemiec, jako staranny ojciec, za chlebem dla rodziny. I cożem na tem zyskał. Ziściło mi się ono stare przysłowie „Kto ma chleb — szuka kołacza.“ A tu chleb zgubisz i kołacza nie znajdziesz. Co do ciała, to i na obczyźnie ma Polak chleb powszedni, i ten jest wszędzie, gdziekolwiek stworzenie ludzkie jest, ale co do duszy jak tam wygląda, nie inaczej jak brzmi ono drugie przysłowie,

„Ciało w wygodzie, a dusza o głodzie.“

I to rzeczywista jest prawda, bo już drugi rok upływa, a tu człowiek żyje bez spowiedzi, bo jak się spowiadać po niemiecku, kiedy się człowiek po polsku uczył? Żyje się więc bez pokarmu duszy, bez św. Sakramentów, a w ojczyźnie zwykłem kilka razy do roku przystępować do stołu Pańskiego. A czy mnie samemu tak idzie? Niestety! już nie setki, ale tysiące jest takich, którzy nie mogą zadosyć uczynić w niemieckim języku przykazaniom Boskim i kościelnym. Najlepszym tego dowodem jest petycya górno-ślązka, i wiec Polaków w Charlottenburgu, domagający się u władzy duchownej języka ojczystego w kościele. Wszystko było bez skutku. Ponieważ poruszyłem sprawę wieca w Charlottenburgu, dodać mi należy, jak się dowiaduję, z 40-go nr. „Nowin Raciborskich,“ iż ówczesny proboszcz miał się wyrazić do kogoś, że tylko ze wstręt
mówi po polsku, a na śpiew polsk
zania to się nigdy nie zgodzi.
ów proboszcz, że powinniśm
po niemiecku i zastosow
ców, od których
uciśnieni.
że się
które
jeszcz
niemi
się d
pow
mi,
tylk
w C
ze

tora, który mu pomódz nie może, wymawiając się tem: „Leczę tylko zęby a nie złamane nogi.“

Wszędzie traktują nas po macoszemu — wszędzie uciskają. Z przodu kroczy Hakata, a z tyłu idą socyaliści i żydzi, i tylko potrzeba jakiej przepaści, w którąby można wpędzić Polaków, gdzieby zginęli bez śladu. I czyż nie można powiedzieć, iż życie naszego narodu, to życie prawdziwie pokutnicze, życie boleści, życie tęsknoty, życie opłakane, życie podlejsze od życia znanego nam francuzkiego kapitana Dreyfusa na wyspie Djabelskiej, któremu oprócz tej iskierki światła niebieskiego, i krat więziennych nic więcej nie sprzyja?

Fr. O., robotnik.

* * *

Swiętochłowice, G. Slązk, w sierpniu.

Szanowna Redakcyo!

Niżej podpisani Górnoślązacy pracowaliśmy w hucie „Katarzyna“ pod Sosnowicami w Królestwie Polskiem jako pierwsi robotnicy przeszło lat 15 bez przerwy chętnie, pilnie i dobrze, z czego dyrekcya była zadowolona. Nareszcie, kiedy widzieliśmy, że siły nasze słabną, że trzeba będzie tę ciężką pracę niedługo porzucić, smutno nam się zrobiło, bo tam przecież żadnego tak zw. knapszaftu nie ma, ani żadnej kasy wsparcia, któraby robotników niezdolnych już do pracy mogła wspierać, więc postanowiliśmy udać się z prośbą do dyrekcyi fabryki, ażeby raczyła podobną kasę założyć, jaka istnieje n. p. na Górnym Slązku lub gdzieindziej w Prusach, ażebyśmy później na nasze stare lata, kiedy już wcale nie będziemy mogli pracować, nie musieli o kawałek chleba prosić, co już tam niejednego spotkało. Za to nas pan dyrektor S. pochwalił i przyrzekł, że niedługo będzie taka kasa, jak na Górnym Slązku. Wiadomość ta bardzo nas ucieszyła, ale gdyśmy na przyrzeczenie długo czekali, więc postanowiliśmy znów zapytać się pana dyr. S., dla czego obietnica tak długo się nie spełnia. Pan dyr. S. powiedział nam, że dotąd jeszcze takiego rozporządzenia nie wydał, więc jeden z nas napisał prośbę do cesarzowej rosyjskiej, żeby się przyczyniła za nami. Na prośbę do dzisiaj żadnej odpowiedzi nie mamy. Zato w kilka dni po wysłaniu prośby zabrała nas policya od pracy do naczelnika w Będzinie; powiedziano nam, że pan naczelnik chce z nami mówić. W Będzinie oko nasze wcale naczelnika nie widziało, tylko sekretarz naczelnika kazał nas aresztować. Zapytaliśmy za co? Odpowiedziano nam, że za niedobre prowadzenie się w fabryce. [illegible]ec zapytaliśmy powtórnie, dlaczego nas [illegible] sama nie wydaliła, jeżeli się nie[illegible]wadziliśmy, ale to wszystko [illegible]gło. Zamknięto nas pomię[illegible]ie ludzi; nie podobna [illegible]nierstw i prze[illegible] a bardzo [illegible] pierw[illegible] swo[illegible] na[illegible]ozie [illegible]sić, [illegible]wy[illegible]two [illegible]wem [illegible]po-

wiedział naszym żonom, że jak będą z nami mówiły, żeby nam powiedziały, żebyśmy już żadnych listów nigdzie nie pisali. Dnia czwartego zostaliśmy przez policyę odesłani za granicę, czyli na Górny Slązk. Tak to nas panowie za nasze długie lata pozbyli pracy i wypędzili za granicę, a jest to dowodem czystym i jasnym, bo kiedy żony poszły po wyciągi, upominał ich pan dyrektor S. znowu, aby powiedziały nam, że mamy teraz już poprzestać ze wszystkiem i nigdzie nie pisać, bo nie mamy się nic do upominania — nareszcie powiedział, że jeżeli my, robotnicy, będziemy płacić kopiejkami, to urzędnicy płacić będą rublami.

Czy jest to wszystko prawda? Nadmieniamy także, że nas znieważono i nazwano „buntownikami“. — Bardzo nam smutno się robi, gdy sobie przypomnimy, że to Polacy katolicy nas Polaków katolików tak znieważyli i często jeszcze nas „szwabami“ nazywali, chociaż nimi nie jesteśmy.

W końcu zapytujemy się, czy można robotników bez najmniejszej z ich strony winy i żadnego wynagrodzenia za ich zdrowie, siły i ich młode lata wydalać? Teraz trudno nam było o pracę się tutaj wystarać, bo prawie wszyscy 50 lat już mamy. Panowie mówili, że nie mamy prawa niczego żądać, ale miesięcznie odciągano nam, każdemu pierwszemu robotnikowi 75 kopiejek, t. j. 1,60 mk. Ufamy jednak w Bogu, a zapewne nas Bóg nie opuści i nam dopomoże.

Z szacunkiem

Fr. S., A. D., P. J.

Do młodzieży naszej!

Czegoś tak smutny, młody mój bracie,
I zkąd u ciebie do życia wstręt?
Czyż nam się tylko żalić po stracie
I smucić z pęt?

Choć twarde więzy mamy na ręku,
Niech się nie zgina jednak nasz kark;
Niech wróg nie słyszy naszego jęku —
Ni naszych skarg...

Wierni wyznawcy wolnego słowa
Nie potrzebujem kryć naszych lic;
Tego, kto godność swoją zachowa,
Nie hańbi nic.

A gdyby ktoś z nas upadł tak nizko,
By wrogom cześć swą złożył u stóp —
To pamięć jego psom na śmiecisko
Rzućmy na łup!

Więc śmiało, bracie, wznoś dumne czoło,
Bierz uczuć barwę z nadziei tęcz,
A w takt do pieśni, brzmiącej wesoło
Łańcuchem brzęcz.

Niech wie los mściwy i wróg nasz stary,
Że próżno swoją wytęża złość;
Bo nim dojrzeją jego zamiary,
Bóg rzeknie: „Dość!“

Wtedy się skończy niewola sroga
I wtedy pozna odwieczny wróg,
Że naród, który miłuje Boga,
Wybawi Bóg.

F. W.

Wręczenie kardynalskiego kapelusza.

Nad morzem domów wiecznego miasta, nad kopułami, wieżami i ciemnozielonemi ogrodami świeci jasne słońce czerwcowe. Niezwykły ruch panuje dziś na ulicach. Ciężkie karety, w których głębi widać przeważnie duchownych, wytworne, lekkie powozy, skromne dorożki, wszystko to pędzi szybko w jednę stronę, a pomiędzy powozami biegną całe tłumy mnichów i zakonnic, seminarzystów, pielgrzymów i innych widzów każdego stanu. Każdy jest uzbrojony w wielką, różnokolorową kartę inwitacyjną „majordomusa Jego Świątobliwości i prefekta apostolskich pałaców“. Na kartach tych dodane są jeszcze słowa: „Panie w czarnych sukniach i welonach, panowie we fraku i białym krawacie“. Wszyscy dążą więc do papiezkiego Borgo, chodzi bowiem o przyjrzenie się publicznemu „consistorium“, podczas którego papież wręcza „czerwony kapelusz“ kardynałom, nowo zamianowanym kilka dni poprzednio. — Olbrzymia brama Watykanu szeroko jest otwartą. Na progu stoją włoscy policyanci i karabinierzy i strzegą porządku. Po za progiem powiewa czerwono-żółta jedwabna chorągiew papiezka — tam już rządzi gwardya Szwajcarów w czarno-czerwono-żółtych strojach, z halebardami w rękach, a służba ich dziś nie jest lekką, bo muszą tak długo wstrzymywać napływ tłumu, cisnącego się naprzód, zanim drzwi „sali królewskiej i książęcej“ nie zostaną otworzone. Potem nic już i nikt wstrzymać ludzi nie może, każdy pędzi na oślep, aby dobre otrzymać miejsce. W Sala Regia, zbudowanej przez Antonio da Sangallo, ozdobionej sztukateryą przez Perina del Vaga i Daniela da Volterra, a upiększonej historycznemi fresco obrazami przez Salviattego Zuccaniego i Vasariego, ustawionym jest tron papiezki. Wzdłuż ścian znajdują się czerwono wybite trybuny dla dyplomatów i wysokiej szlachty. — W środku sali stoi gwardya Szwajcarów, oficerowie, monsignorowie, księża i urzędnicy papieża w czarnym dworskim stroju hiszpańskim. Witają oni gości, wskazują niektórym miejsca i „robią honory domu“.

Wkrótce gromadzi się w sali tyle osób, że natłok staje się prawie zastraszającym. — Kanonicy konsystorscy w swych skromnych rewerendach mogą z trudnością przejść do kaplicy Sykstyńskiej, w której tak jak i kardynałowie muszą być obecnymi składaniu przysięgi nowych kardynałów. Nareszcie ukazują się starzy gwardziści pałacowi, ubrani w mundury francuzkie i tworzą szpaler a zaraz potem słyszeć można z przyległej sali Ducale głośne okrzyki i klaskanie w ręce — jest to znak, że Ojciec św. się zbliża. Ojca św. ubrano właśnie w Sali dei Paramenti w czerwony, zło-



tem haftowany płaszcz i tiarę, błyszczącą drogiemi kamieniami. Siedzi on na krześle, które niesie 12 czerwono ubranych „sediarii“, obok krzesła idzie 2 „flabelarii“ z wachlarzami z strusich piór, a cały ten orszak idzie przez Sala Ducale aż do Sali konsystorskiej. Za krzesłem papieża idzie gwardya szlachecka, urzędnicy, kardynałowie, arcybiskupi, biskupi, prałaci, oficerowie i t. d.

„Niech żyje Ojciec św. Niech żyje papież-król!“ krzyczy tłum, klaszcząc w ręce w Sali Ducale. Jest to hałas i krzyk ogłuszający. Nieco spokojniej zachowują się goście w Sala Regia Wysoka postać Ojca św. jest lekko pochylona, twarz jego blada, ale usta uśmiechnięte, a ciemne oczy patrzą łagodnie i żywo na zgromadzonych. Ciężar ornatu daje mu się zapewne uczuć — drżąc, wyciąga białą rękę i błogosławi zebranych znakiem krzyża świętego.

Po zabraniu miejsca na tronie, rozpoczyna się właściwa uroczystość. Nowi członkowie św. collegium wchodzą pojedyńczo z kaplicy Sykstyńskiej, w której co dopiero złożyli przysięgę. Każdy idzie w towarzystwie dwóch collegów, spełniających funkcyę chrzestnych, aż do tronu, klęka przed Ojcem św., całuje jego nogę i otrzymuje nazwajem pocałunek braterstwa. Po zamienieniu pocałunku z wszystkimi collegami, siadają nowo kreowani, chór zaś śpiewa stosowną mottetę. Potem zbliżają się znowu do tronu i otrzymują z rąk Papieża czerwony kapelusz. Kardynałowie, nieobecni tej uroczystości muszą się zadowolnić czerwonym baretem, który im jeden z gwardzistów szlacheckich zanosi. Tylko w Rzymie otrzymują kardynałowie owe czerwone kapelusze. Na zakończenie ceremonii wstaje Papież, i stojąc, błogosławi wszystkich obecnych, następnie siada na krzesło i opuszcza salę wraz z swoim orszakiem. Kardynałowie są później w kaplicy Sykstyńskiej na mszy św., a przy końcu tejże zamieniają znowu pomiędzy sobą pocałunek braterski. Tymczasem tłum opuszcza salę, a wspaniałe ganki, kaplice i sale Watykanu są ciche i spokojne i nie ma tam już nikogo, gdy nowi kardynałowie idą pojedyńczo do sali „tajnego consistorium“, gdzie się odbywa szczególna uroczystość zamykania i otwierania ust. Wręczeniem pierścienia i nadaniem tytułu kościelnego kończy się wszystko.

Pomiędzy nowo mianowanymi kardynałami (z dnia 19 czerwca) są tylko trzej cudzoziemcami: arcybiskup tuloński, François Desiré Mathieu, ur. 28 maja 1839, Ojciec Kapucyn José Calasanzio da Llevaneras, Hiszpan, liczący dopiero 45 lat i arcybiskup z Görz, Jakób Missia, który niedawno skończył lat 61. Pomiędzy 8 Włochami, którzy otrzymali purpurę, szczególnej wymienić należy 49-cioletniego arcybiskupa Turynu, Agostina Richelmy. Pochodzi on z bardzo wysokiej i zamożnej rodziny w Piemoncie, jest nadzwyczaj uzdolnionym i kapłanem z najgłębszego przekonania. Przed 2 laty został arcybiskupem. Oprócz niego zostali kardynałami: nuncyusz madrycki Giuseppe Francica-Nana di Bontifé, Sycylijańczyk, arcybiskup z Laryssy i. p. Agostino Ciasca, patryarcha konstantynopolitański, Francesco di Paola Cassetta, patryarcha antyochski, G. B. Casali del Diago, arcybiskup z Reggio di Calabria, Genaso Portanova, arcybiskup z Ferrarry, Pietro Respighi i Luigi Trombetta, sekretarz kongregacyi biskupów i zakonników.

M. W.

Cześć pieśni polskiej!

O! w górę czoła! wśród ogólnej toni
Jedna nam perła jeszcze pozostała!
Tego klejnotu Polak nie uroni
Tak i ojczyzna Jego będzie cała! —
A tym klejnotem: pieśni polskiej nuta!
Co serca przenika, w zwątpieniu zaradzi,
I kiedy Polska w kajdany zakuta
Ku zmartwychstaniu pieśń nas poprowadzi. —
Cześć zatem pieśni! cześć po czasy wieczne!
Póki choć jedno polskie serce bije!
Mimo zakusy nieprzyjaciół wsteczne
Pieśń nam puklerzem! pieśń polska niech żyje!—

Adam z Kujaw.

Balowa suknia.

(Nowelka).

— Czy doprawdy, mamo, dostanę w tym roku moją pierwszą balową suknię?

Delikatna postać dziewczęcia, w wielkim fotelu przy oknie, pochyliła się lekko, a białe drobne ręce złożyły się błagalnie. Blady rumieniec pokrył przezroczystą twarzyczkę.

— Za dwa tygodnie bal u wuja. Pozwól mi iść, mamo! Czuję się zupełnie zdrową i silną!

I na dowód swej siły, pragnie wstać, ale matka przytrzymuje ją przestraszona.

— Siedź Irenko, nie męcz się! Doktor przyjdzie zaraz, więc zapytam go...

Na dole staje powóz. Irena drży, a oczy jej błyszczą gorączkowo. Patrzy na matkę prosząco, a potem wzdycha smutnie. Doktor wchodzi do pokoju. Jest to pozornie surowy i niewzruszony człowiek, ale serce jego gorące i szlachetnie umie odczuwać cierpienie innych. Bada puls chorej i spogląda uważnie na wychudłą twarzyczkę. W końcu zapisuje jakieś krople i żegna obie panie.

Irena nie śmiała wyrazić swego życzenia, przepełniającego całą jej istotę. Ach ona tak bardzo pragnie być na balu! I gwałtowne łkanie wstrząsa jej ciało, i nie widzi nawet słońca, oświecającego ziemię, pokrytą śniegiem.

Matka wychodzi za doktorem i wraca po chwili. Oczy jej są wilgotne, a ręce mocno zaciśnięte.

Ale Irena nie zważa na to.

— I cóż? — pyta cicho

Matka dotyka ustam
czoła.

— Będzie
knię, ko

—

dzie
wić

wa
dzi

kr
w

— Dziś mamo musisz zaraz jechać do miasta i zamówić mi suknię. Stefka, Ania i Zosia — one wszystkie bywają już oddawna na balach, a ja nie tańczyłam jeszcze ani razu! Ale teraz powetuję wszystko! Jaki kolor mam wybrać — różowy?

— Weź niebieski, dziecko!

— Namyślę się jeszcze. Prześpię się teraz trochę, a gdy się obudzę, powiem mamie, jaką suknię chciałabym mieć.

O czwartej budzi się Irena.

— Mamo! — woła z niespokojnie błyszczącemi oczami — już wiem, jaki kolor najstosowniejszy dla mnie. Otóż biały. Śniło mi się o białej sukni i czerwonych różach, ale ja wolę białe róże! Więc wszystko białe, pamiętaj mamo!

— Jak chcesz, kochanie — szepce matka drżącym głosem. Pomimo całej siły panowania nad sobą, nie może zapomnieć tego, co jej doktor dziś powiedział w przedpokoju!

— Nie odmawiaj pani już niczego córce.

Nieszczęśliwa kobieta z rozpaczą w sercu wybiera się do miasta po suknię; Irena zaś siedzi i marzy...

Marzy o pewnym pięknym, jasnowłosym młodzieńcu, który przeszłej zimy powiedział do niej:

— Na przyszły rok będziesz pani tańczyła na balach, nieprawda? I wtedy otrzymam pierwszego walca i drugiego i trzeciego i kotyljona! A ja przyniosę pani najpiękniejszy bukiet, a pani darujesz mi jeden kwiatek i...

Ach, jakie szczęście czeka ją za dwa tygodnie! Ujrzy tego, którego ukochała całą potęgą swego serca!

Myśli Ireny plączą się. Raz zdaje jej się, że patrzy na pięknego młodzieńca, raz, że na suknię, to znów gwiazdy spadają z nieba i zamieniają się w dwoje ognistych oczu, które spoczywają na niej z uwielbieniem i miłością.

— Moja suknia! — woła budząc się z odrętwienia.

A matka stoi przed nią i rozkłada biały, lśniący atłas i przepyszne koronki.

— O jakie to piękne! — szepce Irena zachwycona.

— Tutaj buciki, rękawiczki, wachlarz i kwiaty. Wszystko białe, tak jak chciałaś!

W oczach dziewczęcia błyszczą łzy szczęścia. Dotyka lekko ręką tych cudów, i patrzy na matkę z wyrazem bezgranicznej wdzięczności.

— Mój pierwszy strój balowy, — powtarza, a wielka radość dodaje jej sił [illegible]drowia.

[illegible]m długie narady z krawcową, [illegible]dni wszystko jest gotowe.

[illegible] dzień balu. Irena [illegible] Czuje się [illegible] matki [illegible] się... [illegible]kną [illegible]on- [illegible]ko. [illegible]za- [illegible]zy [illegible]bie [illegible]la [illegible]e-

grać „Róże Południa", i liczne pary wirują przy upajających dźwiękach walca.

— Po tym walcu, — szepcze młodzieniec, — przejdziemy do oranżeryi. Muszę panią zapytać o coś — bardzo dla mnie — ważnego.

Irena tańczy, jak we śnie i uśmiecha się. Nagle gwałtowne drżenie wstrząsa jej członki, serce uderza mocno, raz i drugi, i śliczna główka pochyla się bezwładnie na ramię tancerza.

Głośny okrzyk przerażenia rozlega się na sali — muzyka przestaje grać, a w objęciach młodzieńca leży biała lilia złamana — martwa Irena. Wśród najwyższego szczęścia zeszła z tego świata.

Zaniesiono ją do oranżeryi i położono pomiędzy kwiatami na ławkę. Matka skamieniała, bez łzy w oku, patrzy na swoje dziecko, jak gdyby nie pojmowała jeszcze tego ciosu okropnego. Zwolna przychodzą znajomi i przynoszą jej kwiaty. I tak leży tu Irena, uśmiechnięta, biała, opromieniona blaskiem miłości i śpi snem wiecznym w swej pierwszej balowej sukni!

B. D. M.

Łaska Boża.

Gdy cię bolu łza omroczy,
W niebo zwracaj twoje oczy,
A z jasnego nieb przestworza,
Spłynie na cię łaska Boża.

W niebo skieruj twoje myśli,
Nim je czary zwątpień zmogą,
Bóg cię światłem swem określi,
Byś nie poszedł błędną drogą.

A gdy nad twą strzechą starą,
Czarne łono chmur zawiśnie,
To do nieba westchnij z wiarą...
Bóg piorunu nań nie ciśnie.

Lub gdy wróg się jak gad podły
Wśród zagrody twej rozmnoży,
Ślej do nieba szczere modły,
A dosięgnie go gniew Boży.

I tak z wiarą, a w pokorze
Oko, duszę wznoś do nieba,
O! bo w każdej życia porze
Łaski Bożej nam potrzeba.

B. B.

Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Helena jednak nie powiedziała Alfredowi całej prawdy. Nietylko bowiem, że pragnęła za jakąkolwiekbądź cenę majątku, ale nadto nienawidziła z całej duszy Richardera i Alicyi, pomimo, że Alicya starała się usilnie o pozyskanie jej przyjaźni. Richarder natomiast pogardzał tak Henrykiem, jak i siostrą jego, uważając ich za ludzi słabych i bez charakteru. Pomimo, że Henryk był lekarzem i że sumiennie wypełniał swoje obowiązki, to stary architekt był tego zdania, że tylko bieda zmuszała go do praktykowania, i że gdyby miał pieniądze, żyłby dalej leniwie i bezczynnie. A on nie mógł znieść ludzi leniwych.

Julia była nerwową i zapadała często na zdrowiu, posyłano więc po Henryka, ale na tem kończyła się wszelka ich znajomość. Może z czasem byłyby lepsze zapanowały stosunki pomiędzy pałacem a zamkiem, ale rozmaite drobne wypadki zwiększały nienawiść Heleny do szczęśliwych bogaczy.

I tak pewnego jesiennego poranku, po kilkodniowym deszczu, gdy wszyscy zdążali do kościoła, przejechała kareta pana Richardera tak blizko Heleny, że błoto prysnęło jej na twarz, pomimo, że stangret usiłował zwrócić konie w bok. Helena zbladła z wściekłości, i czując się blizką zemdlenia, wróciła nieprzytomna prawie do domu.

Alicya zauważyła wszystko, również jak i stangret, który tłumaczył się i uniewinniał, jak mógł. Po południu udała się do pałacu.

— Przykro mi niezmiernie, — rzekła serdecznie, — podając rękę Helenie, że panią dziś taka spotkała przykrość. Ale błoto ogromne, a stangret przysięgał, że nie mógł dosyć wcześnie skręcić koni. Pomimo to wypowie mu ojciec miejsce, jeżeli pani sobie tego życzysz.

Helena udawała, że nie widzi wyciągniętej ręki dziewczęcia.

— Po co? — odparła wyniośle, — był to przypadek, zdarzający się codziennie. Powinnam lepiej uważać, i odtąd nie narażę się już na coś podobnego.

Alicya odeszła z żalem, wiedziała bowiem, że nigdy nie uda jej się pozyskać tego dumnego serca.

Kilka tygodni później polował Henryk na zające, i w zapale posunął się aż na terytorium zamkowe, zapominając zupełnie, że to dla niego ziemia zakazana. Jeden z strażników zobaczył go i zbliżył się natychmiast ku niemu.

Daremnie prosił go hrabia o darowanie mu tej winy, daremnie tłumaczył się nieuwagą, strażnik pozostał niewzruszonym.

— Zechciej się pan hrabia porozumieć z panem Richarderem, — mówił uprzejmie, ale stanowczo, — ja muszę wypełnić mój obowiązek.

Henryk napisał do architekta, żadnej jednak nie otrzymał odpowiedzi.

Richarder chciał być samodzielnym panem swych włości, które inni mieli szanować, i pomimo, że Alicya dowiedziawszy się o tem, prosiła ojca, aby wybaczył hrabiemu, przyszło do procesu.

— Uważam, — rzekł Richarder surowo, — że za wiele zajmujesz się tymi ludźmi. Przy każdej sposobności opowiadasz mi o hrabiu i siostrze jego, i zapominasz, że my nie należymy do ich sfery. Hrabianka Albernon nigdy nie będzie twoją przyjaciółką, hrabia nigdy nie uzna mnie za równego sobie. Oboje są dla nas zupełnie obcymi. Proces wytoczę mu. Nie przeczę, że trzeba być dla nich wyrozumiałym, ale radzę ci,

bądź ostrożną i rozsądną. Nie okazuj im za wiele sympatyi, nie pozwól sobie imponować ich tytułem, bo pamiętaj, że ty w ich oczach nie znaczysz nic, tylko twoje miliony! Póki ja żyję, nie zostaniesz żoną hrabiego. Nie pracowałem na to przez tyle lat, aby ozłocić tarczę herbową tego leniucha — twój mąż musi być także człowiekiem pracy. Wiesz, jak bardzo cię kocham i spodziewam się, że przyznasz mi słuszność.

Alicya słuchała go ze łzami w oczach.

— Twoja wola ojcze, jest mi świętą — odrzekła w końcu.

— Gdyby twoja biedna matka żyła, mówiłaby tak samo! — dodał Richarder.

Dziewczę westchnęło i spuściło główkę. Ojciec był dobrym, ale — nieugiętym. Hrabia przegrał naturalnie proces i musiał zapłacić kilkanaście franków.

Wkrótce jednak zaszło nowe nieporozumienie, które doprowadziło obie strony do zerwania wszelkich stosunków. Od czasu sprzedaży zamku Beuron panowały sprzeczki pomiędzy Richarderem a hrabią o kawał ziemi; każdy z nich utrzymywał, że to jego własność. Richarder milczał w końcu, ale teraz, po owem niefortunnem polowaniu odezwał się hrabia na nowo z swemi pretensyami, i sam rozpoczął proces. Sąd jednak rozstrzygnął na jego niekorzyść, skazując go na zapłacenie kosztów, wynoszących trzy tysiące franków. Zapłacenie takiej sumy było dla hrabiego ostateczną ruiną, sąd bowiem jest nielitościwym, i tylko sprzedaż mebli i domu byłaby mogła pokryć ów wydatek. Wyznaczono też już termin subhasty, i hrabiemu oraz siostrze jego najokropniejsza groziła nędza. Ale nagle cofnięto wszystko — komornik nie przybył i subhasta została zniesioną.

Było to tak dziwnem i niespodziewanem, że Henryk udał się do Blois, aby sprawę tę wyjaśnić. Notaryusz dawał mu jednak wymijające na wszystkie pytania odpowiedzi, i dopiero po najusilniejszych staraniach dowiedział się hrabia, że suma, na której zapłacenie był wskazanym, została na dwa dni przed subhastą złożoną w sądzie. Kto zapłacił — to pozostało tajemnicą.

Duma hrabiego cierpiała niezmiernie. Kto mógł za niego zapłacić? Jeden z jego dawniejszych przyjaciół? O nie! Od czasu, gdy był biednym, nie troszczył się nikt o niego!

— Proszę pana, a nawet żądam, — rzekł do sędziego, — abyś mi wymienił nazwisko tego, kto te pieniądze złożył. Nie mogę pozwolić, aby nieznajomi płacili za mnie!

Sędzia zmieszał się widocznie.

— Wierzę, — szepnął, — że to panu nieprzyjemnie, ale ręczę słowem honoru, że możesz pan śmiało przyjąć te pieniądze. Ofiarowano je z taką szczerością.....

— Pomimo to musisz mi pan wymienić nazwisko tego nieznajomego dobroczyńcy.

— To nie jest podarunek, tylko pożyczka.....

— Nic nie szkodzi. Proszę o nazwisko!

— No więc — kolega pana — doktor Gordon!

— Nie znam go! Widziałem go raz, ale nie rozmawiałem z nim wcale.

— Dziwna rzecz! — szepnął Henryk odchodząc.

Nazajutrz udał się do zamku Rouches, w którym od kilku lat mieszkał pewien Amerykanin, doktor Gordon. Więc to on miałby pomódz swemu hrabiowskiemu koledze? Ponieważ Gordon nie praktykował, przeto pomiędzy nimi żadna nie panowała rywalizacya. A zatem uczynek jego wynikał jedynie z miłości bliźniego — inaczej nie umiał sobie Henryk tego wytłumaczyć!

Doktor Gordon mieszkał w tej okolicy tak długo mniej więcej, jak pan Richarder. Obydwaj spisywali kontrakt u tego samego notaryusza, i mała przysługa, którą Amerykanin przy tej sposobności wyrządził architektowi, zbliżyła ich do siebie. Richarder, będąc zawsze jeszcze zagorzałym myśliwym, byłby chętnie kupił las, należący właściwie do Rouches, a położony pomiędzy obydwoma posiadłościami. Gordon nabył go sam, ale przy spisywaniu kontraktu spotkał architekta na sądzie, i usłyszawszy jego życzenie, rzekł uprzejmie:

— Pragnę zachować z panem dobre stosunki sąsiedzkie, odstępuję więc chętnie cały las panu. Nie jestem myśliwym, nic mi więc na nim nie zależy. Ile mi pan dasz, tyle wezmę.

Richarder uradowany, podał mu rękę. Ale przez chwilę zdawało się, że doktor nie widzi wyciągniętej jego dłoni, a gdy nareszcie nie chcąc być niegrzecznym, ujął ją, cofnął się znowu Richarder przestraszony — ręka bowiem Amerykanina drżała silnie i była zimną, jak ręka umarłego.

W ten sposób zawarli obydwaj sąsiedzi znajomość, zresztą nie bywał Gordon u nikogo, odwiedzając natomiast przynajmniej dwa razy na tydzień architekta.

Pomimo, że Gordon był z urodzenia Amerykaninem, mówił wybornie po francuzku, bez żadnego cudzoziemskiego akcentu. Zdawał się starszym, niż nim był rzeczywiście, bujne włosy oraz długa broda były zupełnie białe i jedynie tylko czarne oczy błyszczały żywo, jak oczy mężczyzny, będącego w sile wieku. Gdy patrzał na Alicyę i Leona, gdy rozmawiał z nimi, wyrażała twarz jego niezmierną czułość i łagodność, gdy był sam, wyglądał jak starzec złamany życiem, którego chwile życia są policzone.

W zamku Pereuse cieszył się ogólną sympatyą; Leon i Alicya odgadli instynktem, że musiał przejść w młodości ciężkie nieszczęścia i porównując jego cierpienia z cierpieniem ojca, otaczali go serdecznem współczuciem i prawdziwą przyjaźnią.

Razu pewnego opowiedział mu Richarder o tragicznej śmierci Emilii. Gordon słuchał go z zamkniętemi oczami, potem wstał, otworzył okno, i nie zważając na silny mróz, stał długo z wychyloną głową.

— Zaziębisz się pan — zawołał architekt.

Gordon wrócił do niego, uścisnął mu ręce i milcząc wyszedł z pokoju.

— — — — — — — — — — — —

Gdy Henryk usłyszał od notaryusza, że to ów doktor Gordon zapłacił za niego, udał się natychmiast do zamku Rouches, w celu żądania wyjaśnienia.

— Tak mój panie — odrzekł Amerykanin na pierwsze pytanie Henryka — zapłaciłem za pana żądaną sumę. Wszystko co notaryusz panu mówił, jest prawdą.

— Ale zapomniałeś pan zapewne, że to jest bardzo upokarzającem dla mnie!

— Nie widzę żadnej w tem obrazy, wyznam ci jednak, że byłem w owej sprawie tylko pośrednikiem, bo sam nie miałem najmniejszego wyobrażenia, w jak przykrem położeniu pan się znajdujesz.

— Więc kto jest tym wspaniałomyślnym przyjacielem?

— O tem nigdy się pan nie dowiesz!

— Czemu?

— Bo ja sam tylko znam go i musiałem przyrzec, że nazwiska jego nie wymienię.

Henryk widział, że istotnie nie dowie się niczego.

— W takim razie — rzekł — będę musiał starać się, aby dług ten spłacić jak najprędzej.

— Naturalnie i ja znów chętnie będę pośredniczył, ale nie potrzebujesz się pan zanadto spieszyć.

Tymczasem udało się Henrykowi zupełnie niespodziewanie oddać wszystko już po kilku miesiącach. Jeden z jego dawniejszych przyjaciół odzyskał znaczny majątek i zapłacił mu to, co niegdyś od niego pożyczył. Zabrawszy więc trzy tysiące franków, pojechał natychmiast do Rouches.

— Co, tak prędko? — zawołał Gordon zdumiony. — Dług ten był dla pana zapewne istnym ciężarem!

— Tak! Uważałem to za obrazę.

— O, gdyby osoba, której jutro pieniądze te oddam, słyszała słowa pana, czułaby się bardzo zmartwioną.

Wracając do domu, rzekł sobie Henryk w duszy:

— Jutro więc chce doktor oddać pieniądze nieznajomemu! Jeżeli będę pilnie na niego uważał, to dowiem się, dokąd pójdzie, albo pojedzie, i poznam całą tajemnicę!

I nazajutrz z rana ukrył się w krzewach, otaczających zamek Rouches, nie spuszczając oka z drzwi jego.

Nie potrzebował też długo czekać. Amerykanin wyszedł około dziesiątej i udał się prostą drogą do Pereuse. Za nim, w pewnem oddaleniu, postępował Henryk, pytając się, co to właściwie znaczy!

Nagle ukazała się na drodze jakaś postać kobieca.

Alicya Richarder!

Szła teraz obok doktora, rozmawiając z nim żywo, Henryk był zbyt oddalonym, aby mógł dosłyszeć ich rozmowy, ale widział dokładnie, że doktor wyjął pu[illegible] gilares z kieszeni i podał jej kilka [illegible] knotów, poczem oboje zniknęli [illegible] cie ścieżki.

— Więc to ona! — [illegible] szony.

Wróciws[illegible] wszystk[illegible] tego [illegible]

— [illegible]

rzał[illegible]

[illegible]

ślali[illegible]

[illegible]

Jul[illegible]

nem“. — Alfred zmusił Richardera do wdzięczności i tego samego dnia jeszcze przybył architekt do „pałacu“.

— Ocaliłeś pan życie mej siostrzenicy — rzekł, ściskając mu ręce — bądź pewnym, że ci tego nigdy nie zapomnę!

A zwracając się do Heleny, dodał:

— Proszę pani, zechciej pośredniczyć u twego brata, aby zapomniał o tem, co nas dotąd dzieliło, i abyście oboje uważali mój dom za wasz własny! Zapomnijmy o przeszłości!

— Bardzo chętnie — odrzekła Helena.

Zgoda nastąpiła więc prędzej, niż wszyscy wczoraj jeszcze myśleli; Henryk nie spieszył się wprawdzie zanadto z podaniem ręki swemu przeciwnikowi, ale jedno rozkazujące spojrzenie siostry złamało jego opór. Przyzwyczajony do ślepego względem niej posłuszeństwa, spuścił głowę i milczał.

Kilka dni później zaprosił Richarder Helenę i obydwóch hrabiów na solenny obiad, w celu uświęcenia zgody i nowej przyjaźni. Alfred, ubrany wytwornie, olśniewał wszystkich swym dowcipem — Henryk zaś był, jak zwykle, zamyślony i nikt na niego nie zwracał uwagi.

Alicya promieniała szczęściem.

— Jeszcze cię nigdy tak wesołej nie widziałem — rzekł Richarder — cóż cię tak nagle zmieniło?

— Nie wiem, ale nie czułam się nigdy tak zadowoloną, jak dziś — odrzekła, rzucając mu się w objęcia.

— Bylebyś była szczęśliwą, moje dziecko, niczego więcej nie pragnę!

Po skończonym obiedzie zbliżyła się Helena na chwilę do kuzyna.

— Jesteś teraz w twierdzy! — szepnęła z znaczącym uśmiechem.

— Tak i bądź przekonaną, że nie dam się z niej wyrzucić — odrzekł z złowrogiem spojrzeniem.

Chciał jeszcze dalej mówić, ale umilkł nagle, spostrzegł bowiem w tej chwili Gordona, który stał za nim i słyszał bez wątpienia jego słowa. Obydwaj mężczyźni spojrzeli sobie badawczo w oczy — Amerykanin jednak nie zdradził się niczem, że podsłuchał tę rozmowę, Alfred zaś nie zajmował się nigdy niepotrzebnemi myślami.

Gdy wieczorem wyszło całe Towarzystwo do ogrodu, stanął niespodziewanie Henryk obok Alicyi.

— Przyjmij pani — rzekł drżącym głosem — moje najszczersze podziękowanie za to, coś uczyniła dla mnie...

— Nie rozumiem... — szepnęła a gorący rumieniec pokrył jej twarzyczkę.

— Doktor Gordon zachował tajemnicę — ale ja dowiedziałem się o wszystkiem i dziękuję pani raz jeszcze!

...tem złożył jej głęboki ukłon i odszedł.

— — — — — — — —

... polubił niezmiernie Al-
... z nim, łowił ryby i za-
... siebie, tak, że
... w zam-
... bawił
... czę-
... czą-
... się
... szą
... m.
... kro-
... by-
... ło-

ści mowy być nie mogło. Chodziło mu tylko o jej majątek, a dla osiągnienia upragnionego celu byłby się na wszystko odważył. Przebiegły, chytry, obrachowany, wiedział, że po kilkotygodniowej znajomości, nie wypada mu się oświadczyć o rękę młodej milionerki, odgrywał więc rolę nieśmiałego zakochanego i nie pokazywał się czasem przez kilka dni w zamku, tak, że Richarder musiał sam po niego przyjeżdżać i zabierać nieomal przemocą z sobą.

W tym czasie zjawiło się dwóch wielbicieli Alicyi; byli to młodzi, majętni ludzie, z najlepszego towarzystwa, ale Alicya odmówiła obydwom.

— Dla czego rozdajesz koszyki? — zapytał ojciec. - - Muszę ci się przyznać, moje dziecko, że tak pan Belfort jak i pan Rone bardzo mi się podobają, i byłbym niezmiernie zadowolonym, gdybyś jednego z nich była przyjęła.

Młoda dziewczyna głośnym wybuchnęła płaczem.

— Ach, ja wcale za mąż nie pójdę! — zawołała, zakrywając twarz rękami.

— Czemu?

— Bo nie chcę opuszczać ciebie, kochany ojcze!

— Dla tego nie potrzebujesz mnie opuszczać! Moglibyśmy się widywać codziennie, jeżeli to do twego szczęścia jest koniecznem, a ja...

— Nie, nie! — przerwała gwałtownie — Nie chcę! nie chcę!

Alfred dowiedział się o wszystkiem od stryja Fritza i zatarł ręce z radości.

— Ona mnie kocha! — pomyślał uradowany.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żółty kwiatek.

Gdyś mi kwiatek żółty dała,
Jam się gniewał, tyś się śmiała,
Lecz na zgodę, na zadatek,
Wziąłem z rąk twych żółty kwiatek.

Żółty kwiatek, zgubne ziele,
Już się zazdrość w sercu ściele,
Bo już taki wyrok nieba:
Gdzie jest zazdrość, kochać trzeba.

I sam nie wiem, jak się stało,
Serce kwiat ten ukochało,
I nad wszystkie róże, bratki,
Mnie najmilsze żółte kwiatki!

Rozmażony snów potokiem,
Patrzę w niebo gniewnem okiem,
Te błękitne duchów światy
Czemuż to nie żółte kwiaty?

I te gwiazdy, tam w przezroczy,
Co tak świecą, jak twe oczy,
Siane perły na bławatki,
Czemuż to nie żółte kwiatki?

Gdybym ja to rządził światem,
Zasiałbym go żółtym kwiatem,
Zamiast kłosów bladej cery,
Siałbym maik i jaskiery.

Niebo, woda, ziemia cała
W żółtej sukni by jaśniała,
A słonecznik z malwą w parze,
Toby byli dygnitarze!

Ja na tronie, przy twym boku,
W żółtej szacie, z szczęściem w oku,
Kazałbym ci za podatek
Kłaść u nóg twych — żółty kwiatek!

Ale próżna ta ochota,
Jam sierotą, tyś sierota,
O nie dla nas szczęścia kwiecie,
Bo sierotom źle na świecie!

Więc gdy umrę — tam za światem,
Czekam ciebie z żółtym kwiatem,
Jak to słońce na tem niebie,
Z takim kwiatem czekam ciebie.

Lecz gdy życie milsze tobie,
Każę kwiat ten posiać w grobie,
Odbierając twój zadatek,
Zerwiesz z grobu — żółty kwiatek.

J. C. Z.

Feljeton literacki.

Jubileusz uniwersytetu Jagiellońskiego

Jubileusz 500 rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego przez Władysława Jagiełłę przypada w roku przyszłym.

Senat Akademicki już od lat kilku zajmuje się projektem obchodu tego niezwykłego jubileuszu. Przedewszystkiem wybrano komisyę do wydawnictw naukowych jubileuszowych, która pod przewodnictwem prof. Kazimierza Morawskiego pracuje od r. 1896 nad szeregiem wydawnictw, albowiem na ten cel udzielił rząd subwencyi 8000 złr.. a sejm również 8000 złr. Następnie Senat Akademicki wybrał osobny komitet jubileuszowy, któremu przewodniczy każdorazowo rektor Uniwersytetu, a jego stałym zastępcą jest prof. Smolka; członkami są z wydziału teologicznego prof. XX. Spis, Chotkowski, Gromnicki, Trznadel; z wydziału prawnego prof. drowie Krzymuski, Ulanowski, Leo; z wydziału lekarskiego prof drowie Cybulski, Jordan, Wicherkiewicz; z wydziału filozoficznego prof. drowie Kreutz, Exc. Tarnowski, Rostafiński, Janczewski, X. Pawlicki, K. Morawski, Sokołowski, Godlewski, Miodoński, hr. Mycielski; wreszcie każdorazowy prorektor Uniwersytetu. Sekretarzami komitetu są: prof. dr.Cyfrowicz i Leo. Przed kilku laty profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego urządzili między sobą subskrypcyę na składkę, która od tego czasu się zbiera celem utworzenia funduszu na pokrycie kosztów jubileuszu.

Program obchodu da się obecnie tylko w najogólniejszych zarysach przedstawić, mianowicie uroczystość jubileuszowa odbędzie się w pierwszych dniach czerwca 1,900 r.; głównym punktem programu będzie w każdym razie akt uroczysty, który odbędzie się w dziedzińcu Biblioteki Uniwersyteckiej.

Co do udziału Galicyi pożądaną było by rzeczą, aby udział ten objawił się w dniu jubileuszowym uroczystemi nabożeństwami w miastach prowincyonalnych i odczytami; aby w dziennikach ukazały się zawczasu artykuły o znaczeniu jubileuszu i o historyi Uniwerytetu, lub też, żeby wyszła popularna broszura o tym przedmiocie.

Co do innych punktów obchodu projektowane jest między innemi udzielenie dyplomów doktorskich honorowych, wybicie medalu pamiątkowego; tą ostatnią sprawą zajmuje się głównie radca dworu, prof. Sokołowski, i prof. hr. Mycielski.

O ile i jaki wezmą udział dawni uczniowie *almae matris Jagiellonicae* i promowani na niej doktorowie, dotychczas niewiadomo, gdyż to musi być zostawione ich własnej inicyatywie.

Wiadomości.

Każda poczta i każdy listowy na wsi jest zobowiązany do przyjęcia abonamentu, który wynosi na **wrzesień**

tylko 34 fen.

Prośba. Potrzebne są nam do skompletowania kwartalników nr. 15, i 17, „Pracy“ z roku bieżącego; — upraszamy zatem Szanownych Czytelników o łaskawe nadesłanie nam tych numerów, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Z powodu przygotowań do jednego z następnych numerów okazowych, którego nakład wynosić będzie co najmniej 50,000 egzemplarzy, zmuszeni byliśmy numer niniejszy wydać w szczuplejszej objętości.

Do Krzywinia. Szanownych Czytelników z Krzywinia prosimy o łaskawe nadesłanie nam treściwego opisu Krzywinia, jego przeszłości i teraźniejszości z uwzględnieniem osobliwości miasta. Do opisu dołączymy ryciny kościoła i szkoły w Krzywiniu, które posiadamy.

Zwracamy uwagę Czytelnikom naszym na inseraty pp. *Biedermanna i Ski w Gnieźnie oraz p. Bartkiewicza również w Gnieźnie.* Firma „Biedermann i Sp.“ ma na składzie sprzęty kuchenne, szkło, porcelanę i lampy, a pan Bartkiewicz jest właścicielem fabryki maszyn i kotlarni. Bliższe szczegóły podane są w odnośnych inseratach.

Zmarli.

S. p. Franciszek Gambiec, najstarszy obywatel miasta Opola, w 74 roku życia.

S p. Wincentyna z Zelwerowiczów Piątkowska w Poznaniu w 80-ym roku życia.

S. p. Wacław Skowroński w 34-im roku życia w Poznaniu.

S. p. Władysław Melerowicz w 33-im roku życia w Poznaniu.

S. p. Tadeusz Błociszewski, weteran polski, powszechnie szanowany w kolonii polskiej w Paryżu, długoletni prezes instytucyi „Czci i Chleba“, b. profesor lyceum „Louis-le-Grand, w Paryżu.

S. p. Zimocka, z domu Frisot, żona weterana polskiego z r. 1863, w Paryżu w 44 roku życia.

S. p. Jan Wańkowicz, kasyer w Banku galicyjskim dla handlu i przemysłu, major wojsk powstańczych 1863-4, dowódzca oddziałów w Królestwie i na Wołyniu, członek organizacyi powstania r. 63-4, w Krakowie.

Niech spoczywają w pokoju!

Kalendarzyk historyczny.

5—6. 9. 1794. Król pruski i Moskale odstępują od oblężonej Warszawy.

6—7. 9. 1812. Krwawa bitwa pod Borodinem albo Możajskiem. Polacy odznaczyli się pod Poniatowskim.

6. 9. 1831. Moskale rozpoczęli oblężenie Warszawy szturmem. Bohaterska śmierć Sowińskiego.

6. 9. 1863. Zginął w bitwie pod Batorzem pułkownik Lelewel (Borelowski).

7. 9. 1831. Bombardowanie Warszawy.

8. 9. 1832. Prusy, Austrya i Rosya zawarły w Münchengrätz ugodę przeciwko Polakom.

8. 9. 1863. W. ks. Konstanty wyjechał z Warszawy.

9. 9. 1814. Sprowadzono do Warszawy zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego.



Od Redakcyi.

Naszym przyjaciołom z Grodziska i z Sędzinka, panu Michałowi Szelągowi, panu M. Jondzie w Gliwicach i panu Stanisławowi Kryszczakowi w Ostrowie, za nadesłane numery „Pracy“, potrzebne nam do skompletowania kwartalnika serdecznie dziękujemy.

Pani R. Mak. w Berlinie. Przysłanego artykuliku niestety zamieścić nie możemy ze względu na przeciętnych naszych czytelników. Dziękujemy za życzliwość. „Pracę“ przez miesiąc wrzesień przesyłać będziemy gratis.

Panu Stanisławowi Kr. w Ostrowie. Owszem — prosimy o nadesłanie.

P. Wejżak. Wiersz o Słowackim nadszedł niestety już zapóźno, bo po ogłoszeniu przez nas kilku innych wierszy na ten sam temat.

Pan Mich. P. w Koł. Radzimy Panu nie nabywać losów do żadnych loteryi zagranicznych, zwłaszcza banki loteryjne w Amsterdamie odznaczają się wielką nierzetelnością. Podręcznik loteryjny, o ile nam wiadomo, nie istnieje.

Panu Wacławowi W. w P. Dziękujemy bardzo, ale na razie zaopatrzeni jesteśmy w wiersze i poezye.

Panu W. Kiserowi w Lublińcu na Górnym Śląsku. Był to błąd drukarski; stwierdzamy, że miejscowość ta nazywa się **„Lubliniec“**, a nie Lublinic.

Panu Władysławowi J. w Poznaniu. Bez dokładnego podania numeru „Pracy“ bliższej informacyi udzielić nie możemy.

Odpowiedzi Administracyi.

P. *St. Karwackiemu w Mszanie dolnej* (Galicya). Dziękujemy za nadesłane numery „Pracy“. Nr. 15 i 18 przesłać nie możemy, gdyż są zupełnie wyczerpane. Przesyłamy kilka nr. 28 i prosimy o łask. rozdanie pomiędzy znajomych.

PP. *Paluszkiewiczowi, F. Zdzierskiemu i R. F.,* którzy raczyli nam nadesłać brakujące numery, serdecznie dziękujemy.

HUMORYSTYKA.



Wojtek: A przecież ta krowa, coście ją Mosiek mi sprzedali, na oba ślepie niewidzi.
Mosiek: Ny, a poco jej to patrzenie? Od patrzenia się ona nie utuczy. A wam jeszcze lepiej, bo jak dacie jej źreć słomę, to ona nie dopatrzy i będzie myślała, że to owies.
Wojtek: A dyć prawda.

Piosnka Wojtka.

(Krakowiak).

Stare na wsi jadło
I skąpa omasta —
Po co tutaj siedzieć,
Pojadę do miasta.

Pojadę, pojadę,
Bo Poznań jest blizko —
Nazwą mnie tam Dżonem,
Jak na pośmiewisko.

Ogolą mi wąsy,
Zajdzie wielka zmiana,
Bo będę wnet z gęby
Podobny do pana.

Włożą mi ubranie
Kuse i kraciaste,
Będę zęby szczerzył
Na wiejską niewiastę.

Będę jadł, co wlezie,
Dam wygody cielsku —
„Oj raj!...“ będę mówił,
Niby po angielsku.

...de na wyścigi
... szkapę siądę —
...kseb“ i „odsieb“
... wołać będę.

Bobym nie miał przy niej
Z czego robić chleba.

Wzięłaby mi wszystką
Mąkę i otręby,
Bo jej to potrzebne
Do mazania gęby.

W szkole.

— Cóż to jest kula ziemska?
— To jest taka rzecz, która nie widziała mojego tatusia.
— Co!?...
— Bo mama zawsze mówi do mego tatusia: takiego karciarza, jak ty, kula ziemska jeszcze nie widziała.

Styl poznański.

— Mój mężu, znasz się na tylu rzeczach, znasz się pewnie i na tem. Powiedz-że mi co o stylach w budownictwie.
— Hm... jakby ci to powiedzieć? Różne są style, jak np. dorycki, gotycki, byzantyjski i t. p.
— A stylu poznańskiego niema?
— Owszem, jest, bardzo nawet wybitny.
— Czemże się styl ten odznacza?
— Czem? Zaraz ci powiem: po pierwsze: mało miejsca, dużo mieszkań; po drugie: mało cegły, dużo okien i drzwi; po trzecie: wygód mało, komorne wysokie...
— Ach, mój Boże, to styl domu, w którym mieszkamy, i naszego mieszkania.
— Pst... pst... moja duszko, nie zdradzaj się z tem, że mieszkasz w domu stylowym, bo ci gospodarz od kwartału komorne podwyższy.....

Piękne za nadobne.

Jechali sobie żyd, ksiądz i adwokat w jednym wagonie. Żyd siedział skulony w kącie ławki i mrucząc, odprawiał boruchy, ksiądz z adwokatem żywą prowadzili dysputę. Ksiądz dobrodziej, jak ów pan Bolesta z „Pana Tadeusza“, namiętnie lubił gesta i teraz właśnie tak się rozognił, iż zamachnąwszy się znacznie ręką, grzmotnął łokciem w szybę wagonu. Szyba naturalnie nie ścierpiała podobnej impertynencyi i w wielkiej irytacyi rozprysła się na drobne kawałeczki. Żyd uśmiechnął się złośliwie i kończył dalej swe boruchy. Do wagonu wszedł konduktor i zapytał o sprawcę. Ksiądz i adwokat spojrzeli po sobie. Nagle wśród ogólnego milczenia odezwał się z kąta głos żyda, z stosownym gestem żydowskiej ręki, wskazującej na księdza: „To wun!“ Ksiądz zapłacił szkodę — adwokat interweniował — wszystko w porządku — podróż trwa dalej. W tem żydowi, który w ekstazie modlitewnej zbliżył się do okna, porwał wiatr pomięty cylinder wraz z zatłuszczoną jarmułką. Żyd w bezbrzeżnej rozpaczy nie wie, co począć. „Ciągnij za sygnał alarmowy“, doradza mu adwokat. Żyd przygnębiony chwycił się podanego mu pasa, jak deski zbawienia, ciągnąc z całej siły. Po kilku chwilach pociąg stanął. W wagonie ukazała się cała komisya, pytając o przyczynę wstrzymania pociągu. Żyd, trzęsąc się cały ze strachu, zaszywał się jak mógł w kąt ławki. Wówczas, jak karząca Nemezis, wysunął się adwokat i wskazując palcem na postać skuloną w kącie ławki, rzekł krótko: „To on!“ Spisano protokół — żydowi cylinder wprawdzie i jarmułkę oddano, ale za to ukarano go grzywną 50 mk. za nieuzasadniony alarm i wstrzymanie pociągu, który po chwili biegł znowu wartko po szynach. W wagonie panował oryginalny nastrój. Ksiądz i adwokat z zadowolonemi minami kończyli dalej przerwaną dysputę, żyd siedział przygnębiony do reszty w kącie, czując z rozpaczą nieopisaną ubytek w zatłuszczonym portfelu 50 mk. — całych 50 mk. i pewnie rozmyślał nad tem, iż słowa: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło“, nie są znowu tak banalne, jak mu się to zawsze zdawało.

— Jakaś siła wyższa nie pozwoliła Wiktorowi uczestniczyć w naszej wycieczce.
— Siła wyższa?... to żona.

Miejsce na ogłoszenie zarezerwowane dla firmy:

Piasecki i Synowie w Poznaniu,

Ulica Jezuicka.

Fabryka mebli. 843

B. Bartkiewicz,

fabryka maszyn i kotlarnia w Gnieźnie

wykonuje jako specyalność 844

Pompy podwórzowe, parowe do nawozów pompowania i amerykańskie „Kalafornia.“

Przerabianie maszyn parowych podług najnowszych konstrukcyi.

Transmisye syst. Sellera i innych.

Reparacye wszelkich machin.

Zakładanie wodociągów, kotły, rezerwoary i konstrukcye żelazne.



Elixir de Kujawia A. Kwiatkowskiego jest najznakomitsz. środkiem przeciwko **siwiźnie,** nadaje w przec. 3—4 dni ich kolor i połysk. Elixir jest przez pp. dr. P. Jeserich i dr. J. Ulatowskiego jako jedynie polecenia godzien uznany. Cena but. **3 m.** Jedynym prawdziwym środkiem przeciwko wy**padaniu włosów** jest sławna od r. 1882, przez powagi lekarskie polecona A. Kwiatkowskiego

tynktura na porost włosów,

która wzmacnia nawet zupełnie słaby włos, skoro są jeszcze korzonki (tak zw. mech). Czyści głowę z łupieży, wyrzutów i sprawia przyjemność w używaniu. **Cena za but. 2,50 mr.** Za skutek ręczy i poleca

Z. KWIATKOWSKA.

Inowrocław, ulica Toruńska Nr. 10.

Do nabycia w składach: **W. Starka** w Poznaniu, u pp. **F. Perlińskiego, Marczewskiego, J. Bendy** w Inowrocławiu. 798

Kartofle
i
jęczmień dla browarów

kupuję na wszystkich stacyach kolejowych do natychmiastowej lub późniejszej odstawy, na życzenie płacę zaliczkę w gotówce. 815

C. Spagat,

Bydgoszcz — Mautzstr. 2.

Wydatki domowe.

Książkę do zapisywania codziennych wydatków kobiecego gospodarstwa

praktycznie ułożoną z odpowiedniemi rubrykami poleca po cenie **Mr. 1,50** 749

Skład papieru, materyałów piśmiennych, ksiąg handlowych i regestrów gospodarcz.

„Atlas“

(W. Kostrzewski)

Poznań, Stary Rynek Nr. 48.



Najlepszy środek na włosy! Javol nadaje włosom zupełną piękność, czyni je miękkiemi jak jedwab, nadzwyczaj bujnemi i falistemi. 806

Wskutek swoich szczególnych przymiotów utrzymuje naturalny kolor włosów do sędziwego wieku i zapobiega siwiźnie.

Cena flaszki 2 mk.

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach.

Drogerya

J. Grątkowskiego

w Kościanie

poleca

po cenach najniższych: **Oliwy** do maszyn. **Smarowidło** na buty, na szory i na osie. Najlepiej rafinowany **olej do palenia.** Wszelkiego rodzaju **farby** do farbowania i malowania, suche i olejne, gotowe oraz lakierowe. **Pędzle, szczotki, wszelkie artykuły do prania. Kamyszek niebieski** do zaprawiania pszenicy pod wszelką gwarancyą prawdziwe. **Czysto woskowe świece.** 839

Młodego kupca

zdolnego podróżującego z kapitałem 3 do 5 tysięcy marek przyjmę jako 830

wspólnika

do istniejącej już fabryki papierosów i tytuni. — Oferty uprasza się do Eksp. „Pracy“ pod Nr. 830.

Szanownej Publiczności mam zaszczyt donieść uprzejmie, że 837

skład towarów kolonialnych, owoców południowych, łakoci, cygar i t. d.

przy **ulicy Ogrodowej Nr. 11** położony na własność przejąłem.

Prosząc o łaskawe poparcie mego przedsiębiorstwa, zaręczam za skorą i rzetelną usługę przy cenach umiarkowanych. Z wysokim szacunkiem

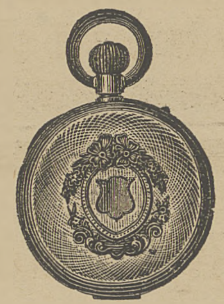
Jakób Jaworski.

Poznań, w sierpniu 1899.

Jedyne tylko najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna zegarków i biżuteryi. Fachowy dom wysyłkowy. Gwarancya 5 lat.

M. DANECKI,

Miejska Górka (Görchen Bez. Posen).



Zegarki srebrne męzkie cyl. klucz. lub rem. zł. brzeg., na 6 kam. po 9,50, 10,50, 11,80, 13,25 mk, a na 10 kam. po 10,60, 11,50, 12,60, 14,85 i 16,50, bardzo piękne z **Matką Boską** po 13,50, 14,60, 15,75, 16,20, 18,00, niklowe po 5,50, 6,50, 7,25 i 8,00 mk. Sreb. damskie po 10,20, 11,75, 12,50, 14,75. Łańcuszki po 25, 40, 50, 60, 75 i 90 fen., lepsze po 1,10, 1,25, 1,50, 1,85, 2,10 do 3 marek. W wielkim wyborze kolczyki, krzyżyki, broszki, pierścienie i czysto złote **ślubne obrączki** po 13,00, 14,00, 16,00, 18,00 mk, za parę i stosowne miary każdemu franko posyłam; a przesyłając miarę z powrotem, wystarczy podanie numeru i ceny. Za każdy zegarek daję **na 5 lat piśmienną gwarancyą.** Zamówienia i podziękowania ze wszech stron świata codziennie nadchodzą, dla tego, że każdy zegarek jest **dobrze obciągnięty** i na minutę **uregulowany.** Koniecznie trzeba się przekonać, a kto nie kupi sam sobie szkodzi. Zegarki moje można też nabyć ze składu p. **Romana Tilgnera w Pleszewie.** ***Cenniki wysyłam darmo i franko.*** 745

Specyalność!

Warszawskie gilzy papierosowe

z watą hygieniczną od 1,30 m. tysiąc poczt. **Prawdziwe tureckie tytunie** od 1,50 do 10 mr. za funt poleca 829

T. Lipczyński, Inowrocław.

Specyalność!

Kawaler, mający 26 lat, posiadający
kamienicy skład kolonialny z św
dzeniem, który mu zapewnia pod
dem wyborne utrzymani
pań, na tej drodze

tow

Panie w
sięcy marek
z fotografią
„Pracy“ pod



Nr. 22.

Jubileuszowe.

Mickiewicz

Poznań.

Wichrowski & Święcicki.

1798—1898.

Mickiewicz.

Nowe

papierosy

aromatyczne

z doskonałych tureckich mięszanek.

Do nabycia:

we wszystkich



Nr. 21.

Papierosy

Maryla.

Poznań.

Wichrowski & Święcicki

1818-1822.

Maryla.

697

lepszych składach cygar, cukierniach i restauracyach.

Rzetelna usługa!



Nizkie ceny.

OBUWIE

724 poleca

W. Skórnicki, Poznań, Stary Rynek 46.

Na żądanie illustrowane cenniki!

Wielki skład piwa

A. Bociański,

Plac Wilhelmowski No. 18 a mianowicie: Składowe, Krotoszyńskie, Pilzeńskie i Dortmundzkie, prawdziwe Kulmbachskie Rizzi, Monachijskie, prawdziwe Grodziskie, Wrocławskie, pszenne, Berlińskie białe piwa w sądkach i butelkach, także wodę selterską i limonadę po najniższych cenach. **Główna sprzedaż Krotoszyńskiego piwa w butelkach.** 730

Browar parowy Kawiary-Gniezno

P. Górski

poleca Szanownej Publiczności swe jako najlepsze uznane wyborne

piwa

a mianowicie 32

jasne składowe i ciemne eksportowe

po cenach nader umiarkowanych.

Pewna egzystencya!!!

Do wydzierżawienia jest dobrze zaprowadzony

handel korzenny z hotelem i wielkim ogrodem

w bardzo ożywionom mieście w Prusach Zachod. około 5000 mieszkańców liczącem. Kapitału potrzeba 12—15000 marek. Oferty nadsyłać proszę do Eksp. „Pracy“ pod Nr. 833.



Hurtowny skład.

L. JEZIERSKI,

Poznań 3 przed Berlińską bramą 16,

poleca **słoninę, szynki, brzuchy i karkówki** solone i wędzone, sadło i smalec w rozmaitych gatunkach. 173

Wszelkie gatunki flaków i szpilek do wyrobów mięsnych, oraz papier pergaminowy i szary. Kupuję wszelką ilość świń tuczonych począwszy od 5 sztuk.

Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Cenniki wysył. na żąd. fran.

Założony 1845 r.

Najstarszy warsztat i skład obuwia

w Poznaniu poleca:



Nowość! Buciki wynalazku Krügera, patentem opatrzone, do wiązania jednem pociągnięciem sznórówki otwierane zamykane, własnego wyrobu.

Nowość! Buciki Lawe'go z materyi przejrzystej (warsztacikowe) dotąd niebywale i niesłychanie wygodne dla cierpiących na nogi.

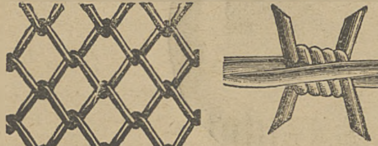
Sudoral! z apteki Petersa w Dreznie bardzo skuteczny środek ku poceniu się nóg i innych części ciała, zawsze na składzie, fl. 1 Markę, przepis gratis.

Wszelkie zamówienia i reparacye wykonuję spiesznie i akuratnie. 160

Wielki wybór! *Usługa rzetelna!*

K. MAY, Wilhelmowska ul. 21,

obok hotelu Rzymskiego.



Ślusarnia i fabryka krat

z kutego żelaza do ogrodzenia domów, grobów i innych przedmiotów.

Wszelkie reperacye

wykonuje po umiarkowanych cenach.

St. SMORAWIŃSKI,

87 **mistrz ślusarski,**

Poznań, ulica Berlińska nr. 14-15.

Stanisław Brzozowski

Poznań, Wielkie Garbary 45.

Skład

gotowych krat

z kutego żelaza.

Zamówienia wykonuję szybko i tanio. 128

Szanownej Publiczności jaknajuprz[...]

noszę, iż **w Trzemesznie** zał[...]

fabrykę wyrobów [...]

dachówek[...]

dachów[...]

i mostów[...]

we wszelk[...]

Ce[...]

Ulepszone teczki dla dokumentów (z alfabetem, zupełnie nowy wynalazek), zapewniają wszelką wygodę w użyciu, zarówno dla kupców jak i prywatnych ludzi (cena 3 marki). 723

L. Gronau & Co., G. m. b. H.

Berlin S., Alexandrinenstrasse Nr. 97.

Teczki do papieru, przechowywacze listów dla porządkowania korespondencyi,

wygodne kasetki do formularzy (własnego wyrobu),

wszelkie nowości w papierach i przyborach piśmiennych.

Illustrowane cenniki gratis i franko.

Bilety wizytowe

(100 szt. 1,50 m.)

wysyła odwrotną pocztą

Drukarnia „Pracy“

Poznań, ul. Rycerska 38.